

Laura

Nie spiesząc się zbiegał po białych, marmurowych schodach. Rękę, jak zawsze, położył na poręczy. Ślizgała się zostawiając za sobą coraz więcej lakierowanego drewna. Minął okno na półpiętrze, z którego noc i ciemne mury podwórka zrobiły lustro. Na dole zobaczył skrzypiące drzwi wejściowe i szmatę służącą za wycieraczkę. Wtedy zgasło światło i poczuł bolesne ukłucie w palec. Zatrzymał się zaskoczony, próbując nie stracić równowagi. Przybliżył dłoń do ust. Polizał palec, próbując sprawdzić, czy wystaje z niego drzazga. Na języku rozpoznał dawno nieobecny, znajomy smak krwi. Ścisnął zębami szukając ponownie. Gdy natrafił na ledwo wystający koniuszek chwycił i wyciągnął go krzywiąc się. Splunął i zszedł na dół. Ostatnie kroki stawiał ostrożnie. Wytrącony z rytmu nie wiedział, gdzie kończą się schody, a zaczyna posadzka parteru. Naprzeciwko, przy wejściu, był włącznik niedawno wymieniony podczas remontu. Po bokach miał dwa mieszkania sąsiadów. Wymacał włącznik i zapalił światło. Spojrzał na palec i od razu wsadził do ust. Zaciekawiony odwrócił się do schodów, chcąc znaleźć na poręczy miejsce, o które się skaleczył. Zbiegał tędy przez całe życie, kilka razy dziennie, i nigdy nawet się nie zadrapał. Podeszedł do barierki. Wszedł na stopień i zauważył na białym marmurze schodów kilka czerwonych plamek. Obejrzał poręcz z bliska. Dla pewności sprawdził ręką dłuższy kawałek. Wszędzie była gładka, błyszcząca. Nie znalazł niczego, o co mógłby zahaczyć. Nieważne. Spieszył się. Zszedł na dół, otworzył drzwi od klatki schodowej i wyszedł, dopiero wtedy wyjmując palec z ust.

Mieszkał w Śródmieściu, w przedwojennej kamienicy, którą odnowiono na wiosnę, poprawiając tym wizerunek dzielnicy. Robotnicy odrestaurowali elewację, klatki schodowe, wymienili okna, parapety, wyczyścili barierki, drewniane poręcze. Wstawili nowe rynny, na podwórku zamontowali trze-

pak. Na ulicy, w miejsce łatanego asfaltu, położyli stylową kostkę. Zamontowali latarnie przypominające te dawne, na gaz. Poprawiło się. Jego kamienica, jedyna w okolicy, miała białe marmurowe schody.

Był późny lipcowy wieczór, ciemniejszy niż zwykle. Chmurne niebo zakryło księżyc, ciągnąc za sobą w oddali burzę. Niedawno podłączone latarnie rzucały mgliste plamy światła. Mijało go sporo ludzi. Na rowerach, z psami, z piwem, turystów ze zwisającymi na piersiach aparatami. Wakacje, koniec lipca. Nikt o tej porze nie siedzi w domu.

Przedwczoraj wrócił z Czech. Przemek, który namówił go, żeby weszli na Gerlach, nasze góry zwiedził już dawno, a ponieważ nie miał w tym roku pomysłów odpowiadających mu finansowo, a musiał wejść na coś każdego lata, postanowił przypomnieć sobie czeską stronę i zaproponował, żeby pojechali we dwójkę. Zgodził się, choć w górach był tylko dwa razy. Nie żałował. Zmęczony stanął na szczycie, prawie na czubku świata i zobaczył nieznane mu niebo. To, które widzą ci, którzy się do niego zbliżą. Oddychał chłodnym powietrzem, jakby specjalnie wypuszczonym z tej okazji. Nie zauważył żadnego ptaka. Ale zrozumiał dlaczego Przemek połknął bakcyła.

Teraz szedł do Ogrodu Saskiego zobaczyć, czy dziewczyna wciąż tam przychodzi. Choć właściwie nie musiał, wiedział, że tak.

Po pierwsze była ładna, po drugie smutna, po trzecie ciążyło na niej jakieś fatum, to było najważniejsze określenie. Od grudnia, kiedy przypadkowo zauważył ją czekającą na chłopaka, minęło osiem miesięcy. Stała wtedy z boku, kilkanaście metrów od bramy, przy krawężniku alejki. On siedział na pierwszej ławce przy wejściu. Umawiali się w parku z Przemkiem, gdy nie chciało się im jechać do siebie, był w połowie drogi. Miał mu oddać płyty, trochę pogadać i wracać. Zimowe wieczory nie należą do najcieplejszych, nawet kiedy nie spadł jeszcze śnieg. Spozstrzegł ją dopiero po jakimś czasie. Odwrócił się w prawo, gdzie stała pod drzewami przypominającymi wiejskie miotły. Była w zielonym swetrze, puchowej kamizelce, czarnym moro, założyła rękawiczki. Patrzyła na trawnik i pusty betonowy staw z nieczynną fontanną. Niezła laska, pomyślał. Odwrócił głowę do bramy wypatrując kumpla. Spojrzał na

zegarek. Miał przyjść o dwudziestej, było już osiem po. Na cyferblacie ma-
lutkie okienko przez cały dzień informowało go o dacie: 14 Dec. Za dziesięć
dni święta, choinka, trzydniowe obżarstwo.

Do parku weszła staruszka z kundelkiem. Usłyszał chrzęst jej kroków na
zwirowej alejce. Za nią wysoki facet w skórzanej kurtce przed kolana, około
trzydziestki, twarz ochroniarza. Minął go, podszedł do dziewczyny. Objął
ją i poszli dalej. Pomyślał wtedy, że była za ładna dla takiego buca z szero-
kim karkiem. Staruszka zrównała się z nim. Patrzyła na psa, który pobiegł
do brzegu stawu. Spojrzał na nią, potem na bramę, w którą właśnie skręcał
Przemek.

Zapomniał o mężczyźnie. Przypomniawszy sobie dzień przed Wigilią, gdy
zobaczył go na zdjęciu. Zszedł na podwórko do kontenera, żeby wyrzucić
śmiecie, pozostałość po świątecznym sprzątaniu. Spojrzał na leżącą w śniegu
obok pustych butelek paczkę niepotrzebnych gazet związanych sznurkiem.
Ściśnięto je tak, że zagięły się na bokach. Na krawędzi była fotografia widocz-
na do góry nogami, która, jak się domyślał, ilustrowała artykuł. Zaciekawio-
ny obrócił paczkę butem.

Nie rozpoznał go od razu, ale kiedy się pochylił, nie miał wątpliwości.
Niedawno widział go w parku. Zaczął czytać artykuł. Pomyślał, że niewiele
się pomylił. Stawiał na ochroniarza, a okazał się wtyczką policji. Dwa dni
temu wyłowiono go z rzeki. No cóż, tak bywa. Podniósł się i poszedł do
domu.

Pod koniec stycznia wybrał się z przyjaciółmi do kina na „Pocałuj mnie
i zabij”, komedię o dziewczynie, która zakochuje się w koledze z pracy i robi
wszystko, żeby on zakochał się w niej. Historia oczywiście z happy endem,
jak w filmach tego typu, ale podobała mu się. Sposoby, które wymyślała
dziewczyna były nad wyraz oryginalne. Na dodatek zakończenie go zasko-
czyło, bo spodziewał się zupełnie innego. Jeszcze jeden dowód, że robimy
niezłe komedie.

Przed seansem palili papierosy w holu przy popielniczce. Nie wiadomo
dlaczego, ale zwrócił uwagę na szczupłego mężczyznę po trzydzieste. Nie

wiedział, kto to jest, choć twarz już gdzieś widział. Mężczyzna odszedł od kasy wkładając bilety i pieniądze do portfela. Rozejrzał się szukając kogoś, a po chwili zrobił w górze gest ręką zapraszający do siebie. Podeszła do niego dziewczyna. Była tak samo ubrana, jak w parku, gdy czekał na Przemka, z tą różnicą, że tym razem spięte w kucyk włosy spływały na plecy. Mężczyzna uśmiechnął się i chwycił ją za rękę. Poszli do bileterek. Popatrzył za nimi. Pamiętał osiłka z parku, z którym odeszła, jego zdjęcie, i to, jak skończył. Miesiąc później chodziła z kimś, kto może mieć problem z udźwignięciem paczki makulatury, na której widział zdjęcie jego poprzednika. Jedyną wspólną cechą był ich wysoki wzrost. Dziewczyna też miała około metra siedemdziesięciu. Widocznie tacy jej odpowiadali. Oprócz tego musieli być kilka lat starsi i podejrzewał, że przy forsie. Weszli do sali kinowej, a na ich miejscu przy kontrolerkach stanęli ludzie. Nie spotkał ich już, kiedy szukał swojego rzędu i fotela, ani po filmie, gdy wychodził. Za to pięć dni później wiedział, kim jest mężczyzna. Dziennikarzem. Pracował w telewizyjnym magazynie kulturalnym.

Natrafił akurat na powtórkę odcinka z zeszłego tygodnia, w którym tamten przeprowadzał wywiad z Michałem Lorenzem, kompozytorem muzyki filmowej. Gdy wyciszono jego głos, spikerka poinformowała, że: „...zeszłej nocy prawdopodobnie został wypchnięty przez nieznanego sprawcę z okna swojego mieszkania na szóstym piętrze”.

Usłyszał także: „...zginął jeden z najzdolniejszych dziennikarzy...”.

Wyszedł do kuchni. Nalał szklankę mleka. Postawił przy zlewie i otworzył górną szafkę szukając ciastek. Znalazł zwykłe, bez żadnych marmoladowych dodatków, te, które lubił. Wyjął jedno. Napił się i usiadł na krześle. Rozmyślał o dziewczynie. Chyba będzie musiała zacząć szukać pracy, bo nie ma szczęścia do sponsorów. Topią się albo są wyrzucani przez okno. Sami wyskakują – stwierdził sarkastycznie. Świat wydał mu się mały, rzeczywiście tak, jak mówią. Dwa razy ją widział, za każdym razem przypadkowo, a później dowiadywał się, że gość, z którym była, nie żyje. Jakby to miało dla niego jakieś znaczenie – pomyślał. Zjadł ciastko. Zapalił światło, zasłonił zasłony.

Wcześniej robi się ciemno. Włączył radio i spojrzał na zegarek. Dochodziła siedemnasta.

Nie widział dziewczyny przez miesiąc. W marcu spotkał ją na schodach.

Wychodził gdzieś po południu. Zamknął drzwi. Zapiął kurtkę i położył rękę na poręczy. Zaczął zbiegać. Kiedy mijał drugie piętro, usłyszał jak ktoś wchodzi. Na półpiętrze zobaczył ją, gdy skręcała na schody. Podniosła głowę. Był zaskoczony, ale nie na tyle, żeby dać to poznać po sobie. Raczej skorzystał z okazji, by się jej przyjrzeć. Przez sekundę pomyślał, że może idzie do niego, lecz szybko się opamiętał.

Miała intrygującą twarz, ale smutną, jakby zmęczoną. Okazało się, że chodzi z chłopakiem z pierwszego piętra, który mieszka pod czwórką. Nie znał go. Wprowadził się trzy lata temu. Z nikim nie rozmawiał, w domu tylko nocował. Rzadko go widywał, nie pamiętał nawet jego imienia. Jedyne, co wiedział to, że jest jedynakiem i prowadzi z ojcem zakład jubilerski. Wymarzony kąsek dla narzeczonej. Po trzech tygodniach, gdy wracał do domu wieczorem, spotkał ją znowu. Wychodziła. Stwierdził wtedy, że albo dziewczyna wstydy się tego co robi, albo sprawy układają się nie po jej myśli. Bliższe prawdy okazało się to drugie.

Gdy dowiedział się, co się stało zaniepokoił się, a złe samopoczucie pogłębiła wizyta policji. Przesłuchiwali wszystkich lokatorów, próbując zebrać jak najwięcej informacji. Okazało się, że jubiler nie dał się oszukać młodej gąsce, która romansowała z jego synem, nie miał jednak nic do powiedzenia, gdy napadnięto na zakład, którego był właścicielem. Podczas kradzieży zabili mu syna, a pracownika ciężko ranili.

Nikt niczego nie zauważył, monitoring był, ale nie nagrywał. Policja nie ustaliła portretów pamięciowych. To był już trzeci trup, odkąd ją zobaczył w listopadzie. O każdym dowiadywał się przez przypadek, i w inny sposób, ale zorientował się, że w tych wydarzeniach jest jakaś nieokreślona logika. Chyba dlatego, że był pod wrażeniem morderstwa wydawało się, że może wskazać jednego ze sprawców. Nie miał na to dowodów, ale jej udziału w całej sprawie był prawie pewny. Z trzech mężczyzn, z któ-

rymi się spotykała, każdy nie żył. Nie wierzył w przypadki, szczególnie śmiertelne.

Zaczął szukać argumentów do potwierdzenia podejrzeń. Uświadomił sobie, że był mimowolnym uczestnikiem każdego zdarzenia. Widział, stał, spotkał się, słyszał fragmenty spotkań. Przestraszony zaczął myśleć intensywniej i wtedy uzmysłowił sobie coś. Jego udział w tym wszystkim był żaden, więc i dziewczyny mógł być taki sam.

Czuł się, jakby siedział z nią na huśtawce. Nie miał na to ochoty. Dlatego nie chciał jej więcej widzieć.

Do pogrzebu sąsiada zostało pięć dni. Mama zapytała go, czy pojedzie. Odmówił. Nie lubił takich okazji, były przygnębiające. W piątek jednak ciekawość wzbierała w nim od rana. Początkowo nie przejmował się, wiedział, że taki już jest. Z upływem czasu coraz częściej zastanawiał się nad dziewczyną i tym, co się wydarzyło. Chciał znaleźć jakiś sens, szyfr, który łączy to wszystko. Nie wierzył, że to były przypadki. Może nie myślałby tak, gdyby nie minęła go na schodach. Zobaczył ją wtedy pierwszy raz naprawdę z bliska i dostrzegł nieokreślony, dziwny smutek w jej oczach. Nie miał dowodów, żadnego punktu zaczepienia, ale ponieważ męczyła go ciekawość, postanowił zaryzykować. Może na coś trafi. Postanowił, że pójdzie na pogrzeb.

Mszę zaplanowano na jedenastą u św. Marcina – jego imiennika – w niewielkim kościele wciśniętym między kamienice, z którego na cmentarz jechało się pół godziny. Pierwszy tydzień kwietnia był brzydki. Plucha z topniejącym śniegiem. W nocy popadało jeszcze krótko i bez sensu. Od rana był mróz. Niebo jak stara folia. Słońce rzadko świeciło i brakowało mu ciepła. Chodniki były śliskie, na trawnikach leżała biała skorupa. Ubrał się odpowiednio do temperatury, założył też kalesony i grubsze skarpetki. Mimo wszystko wolał ten dzień niż poprzedni cieplejszy, ale z topniejącą papką na nogawkach spodni. W kościele położył wieniec, który kupiły mama z sąsiadką przy trumnie obok pozostałych. Wszystkie kwiaty pachniały intensywnie i wraz z zielenią świeżych igieł utrzymywały w powietrzu silny aromat. Cisza skłaniała do refleksji. Na kandelabrze przy trumnie widział trzy grube świece

smużące monotonnaie tańczącym dymem. Siedzieli w jednej z ostatnich ław. Było zimno. Z ust leciała para, na twarzy czuł chłód. Za sobą, przez zamknięte kościelne drzwi, słyszał co jakiś czas pomruk przejeżdżających samochodów. Nie rozglądał się. Spoglądał w stronę ołtarza. Przed nim siedział mężczyzna w czarnym palcie, siwe włosy opadały mu na kołnierz. Obok niego, dwie starsze panie i dziewczyna – nie ona – z chłopakiem.

Na cmentarzu stał z boku żałobnego półokręgu podzielonego przez groby. Część ludzi zebrała się przy trumnie. Kilkanaście metrów przed nim był ceglany mur odgradzający teren cmentarza od ulicy. Gdy ksiądz odmówił modlitwę, wszyscy się przeżegnali. Usłyszał szloch, zgrzytanie łopat, dudniące echo zamarzniętego piachu uderzającego o wieko. Słuchał tego odgłosu, dopóki grabarze nie skończyli i nie przykryli grobu marmurową płytą. Uroczystość trwała krócej niż msza w kościele. Nie spotkał dziewczyny, ale pocieszał się, że przynajmniej mama będzie wdzięczna, że przyszedł. Odwrócił się w stronę bramy, przy której zaparkował samochód. Za pół godziny wróci do domu, usiądzie przy talerzu ciepłej zupy, a gdy zje dokładkę, pogrzeb będzie już tylko wspomnieniem. Potem namówi ojca, żeby obejrzel film, który pożyczył od kolegi. Rozejrzał się po ludziach. Stali w milczeniu. Wszyscy mieli podobny wyraz twarzy. Spojrzał tam, gdzie byli ci, którzy nie mogli bliżej podejść. Przesunął wzrok, jakby coś go ciągnęło. Popatrzył w lewo po przekątnej, odchylając się i robiąc równocześnie krok do tyłu, żeby nie stracić równowagi. Odwrócił szybko oczy. Za chwilę jednak wychylił się znowu. Patrzył dłużej, tym razem odważniej. Poczul, jak szybko bije mu serce. Tak, to ona.

Chciał, żeby ich oczy się spotkały, ale nie widziała go. Stała w głębi, obok czarnego kikuta drzewa, razem z dziewczyną w jej wieku i drobną, starszą panią bez nakrycia głowy. Nad nimi, na gałęzi, siedziały dwie zmarznięte wrony. Nagle z góry nadleciała trzecia, przeganiając tamte. Odleciały niezadowolone. Nawet nie krakały. Może dlatego, że trwał pogrzeb.

W domu nie oglądał filmu. Dał ojcu płytę i poszedł do swojego pokoju. Analizował wszystkie wspomnienia związane z dziewczyną. Zaczął od jesien-

nego wieczoru w Ogrodzie Saskim. Coraz więcej faktów zdawało się pasować do siebie.

Trzy lata wcześniej.

Miała na imię Laura. Mieszkała na Powiślu, na ostatnim piętrze kamienicy koloru brudnej popielniczki, z mamą i ośmioletnim Danielem, bratem, który w czerwcu pierwszy raz trzymał w ręku szkolne świadectwo. Ojciec zostawił ich niedługo po tym, gdy nauczył ją chodzić. Mama pracowała jako sekretarka i, chociaż z drugim mężem się rozwiodła, finansowo jakoś dawali sobie radę.

Laura nie odczuwała braku ojca. Wiedziała, co musi, co chce, na co ją stać lub nie. Mama uważała, że nieobecność mężczyzn w życiu pomogła córce szybciej dorosnąć. Poza tym była taka sama jak inne dziewczyny. Była lubiana przez większość kolegów z klasy, często spotykali się u kogoś i uczyli do matury. Koleżanki wpadały do niej i w bezpiecznych nieszkolnych warunkach zdradzały sobie sekrety. Słuchały muzyki, rozmawiały o ciuchach, studiach, chłopakach i innych duperelach. Na imprezach bawiła się dobrze. Wracała do domu, o której chciała, trzeźwa i przeważnie zadowolona.

Miesiąc przed studniówką, robotnicy w pomarańczowych kaftanach z dwóch stron zagrodzili uliczkę, przy której mieszkała. Ciężkim sprzętem ją rozkopali i przez tydzień wymieniali w błocie pękniętą rurę z wielkim zaworem, którą położyli niedaleko wejścia do jej bramy. Nie mieli w tym czasie ciepłej wody. Samochody parkowały ciasno na sąsiednich ulicach. Ziemi z wykopu wyrzucili na chodnik tak dużo, że dwie osoby nie mogły się wyminąć. Między innymi dlatego, gdy w piątek szła do „Pół nuty” włożyła do torebki zapasową parę butów. Była to średniej klasy, ale nastrojowa knajpa niedaleko jej domu. Czasami wpadała tam z kimś na kawę.

Chłopak, z którym się umówiła, miał na imię Michał. Nie znała go. Był znajomym Kaśki, która zaprosiła go na swoje urodziny, a ponieważ jechał samochodem, a ona przeprowadziła się za miasto poprosiła, żeby zabrał Laurę. Mieli się zdzwonić, i tak się stało. Ustalili, że spotkają się w „Pół nuty”. Jest niewysokiego wzrostu, brunet, przyjdzie w ciemnoczerwonym swetrze. Kie-

dy tłumaczyła mu, jak trafić, zorientowała się, że nie zna Powiśla. Umówili się o dziewiętnastą. Punktualnie o tej godzinie Daniel, odwrócony bokiem, żeby przez przedpokój nadal mógł oglądać dobranockę, zamknął za nią drzwi. Mamy nie było. Dotarła na miejsce i spojrzała na zegarek – cztery po. Poprawiła na ramieniu pasek od torebki i weszła. Pamiętała o czerwonym swetrze.

Muzyka grała jak zwykle i tłumiła rozmowy. Znad kilku stolików podniosły się głowy. Naprzeciwko drzwi był barek, siedzący przy nim mężczyźni sprawdzili, kto przyszedł i powrócili do tego samego zajęcia, co każdego wieczoru. Sala była pełna, jak to w weekend. W dwóch rzędach stały stoliki, każdy zajęty. Na krzesłach wisiały kurtki, ludzie śmiali się, pili piwo. Dym z papierosów wisiał nad nimi, jak rozrzedzona mgła. Było gwarно. Spojrzała w lewo podchodząc parę kroków. Nigdzie nie zauważyła chłopaka w czerwonym swetrze. Odwróciła się i poszła do drugiej części sali. Tam go zobaczyła. Siedział na końcu, przodem do niej, razem z jakimś kolegą. Stanęła jednak, niepewna, czy to on. Kaśka nie mówiła, że jeszcze kogoś zabiera. To był jednak jedyny chłopak w czerwonym swetrze. Na piersiach miał dwa brązowe paski. Zawahała się jeszcze przez moment. Ale jeżeli siedzi tak, jak się umówili, to widocznie on. Dla pewności zapyta.

– Cześć, masz na imię Michał?

– Cześć. Tak.

– Jestem Laura – poczuła ulgę, że się nie pomyliła.

– Cześć – wstał i podał jej rękę. – Siadaj. To jest Robert.

– Cześć – przywitała się z nieznanym. Zdjęła torebkę, kurtkę. Usiadła.

– Przepraszam za małe spóźnienie, ale musiałam zrobić bratu kolację. Przez chwilę, jak tu weszłam, nie byłam pewna, czy to ty.

– Że to nie ja? Dlaczego? Przecież jestem.

– Tak, ale przez moment miałam wątpliwości. Niecodziennie umawiam się z kimś, kogo nigdy nie widziałam. Dobrze, że tylko ty jesteś w czerwonym swetrze.

– Dlatego się spotkaliśmy. To mój firmowy znak rozpoznawczy – rozłożył ręce pokazując wzór. – Lepiej?

– Zadział, rzeczywiście.

– Dzięki. Nie każdemu się podoba. Słyszałeś? – zagadnął kolegę.

– Słyszałem. Ale gdybym ja taki założył, mam podobny, podeszłabyś do mnie – odpowiedział i spojrzał na nią i na Michała.

Zaśmiała się. Pomyślała, że jak na pierwsze spotkanie są kontaktowi. Nie byli ani przystojni, ani brzydcy, ale sympatyczni. Robert miał przesuszoną skórę, jasne włosy czesane na bok. Pomyślała, że powinien smarować się kremem na noc. Michał wydawał się starszy o rok, dwa. Strząsnął popiół do popielniczki. Wziął do ręki szklankę z piwem i powiedział do Laury:

– Ale jednej rzeczy nie wiem.

– Jakiej? – domyślała się, że pewnie, jak trafić do Kaśki.

– Czego się napijesz?

– Och, dzięki. Poczekam, aż dojedziemy – powiedziała zaskoczona. – Mam ochotę na dobre wino. W końcu osiemnastkę trzeba uczcić. Szczerze mówiąc, myślałam, że znowu masz kłopoty z adresem – rzuciła.

– Z adresem? – wyglądał na trochę speszonego.

Zorientowała się, że zapomniał go zabrać albo zgubił. Dobrze, że miała ze sobą notes, nie będzie problemu. Gdy rozmawiali w tygodniu i tłumaczyła, jak trafić wyobrażała go sobie inaczej. Teraz okazało się, że choć wygląda nie tak, dobrze pasował do sytuacji. Był mieszkanką zakłopotania i śmieszności.

– Chyba ci niepotrzebnie przypomniałam. Na szczęście mam notes – odpuściła mu. Podniosła torebkę i położyła na kolanach, rozsunęła zamek.

– Jest. Trafimy – znalazła adres. – Gdybyśmy mieli jakieś problemy, to zadzwonimy – chowając notes spojrzała na Michała.

– Hej, przecież wam mówię, że trafimy. Najważniejsze, że wiemy gdzie jechać. Nawet ci nie podziękowałam, że po mnie przyjechałeś.

– Nie musisz dziękować, wystarczy, że jedziesz z nami.

– Dziękuję. Jaki kolega miły. To dzięki Kaśce. Mam nadzieję, że będzie fajnie.

– Na pewno. Jest tylko jeden mały problem – zrobił bezradną minę, a po chwili dodał z poczuciem winy: – Zabrakło nam benzyny. Po drugiej stronie parku, sto metrów od stacji. Prawie dojechaliśmy. Dopchaliśmy samochód,

ale musielibyśmy czekać godzinę, bo cysterna przyjechała. Więc zostawiliśmy go tam i przyszlismy, żeby się nie spóźnić. Jak wrócimy, to tankujemy i jedziemy. Bez żadnych przygód.

Napił się piwa. – Ten kawałek musimy dojść. Ale to piętnaście minut. Notes mam w samochodzie, tak dla wyjaśnienia – zaznaczył. – Co ty na to?

– Zdarza się. Na szczęście to blisko – zbagatelizowała. – Często masz takie problemy z samochodem?

– Nie. Akurat dzisiaj jeździłem cały dzień. Miałem zatankować przed przyjazdem po ciebie, ale brakowało mi czasu. Pierwszy raz tak mi się stało. Szkoda, że teraz. Ale zdążymy, nie martw się.

– No to chodźmy. Wejdę na chwilę do łazienki – odsunęła krzesło, poczekala, aż wyminie ją idąca para.

Wzięła torebkę i poszła na koniec sali. Obok nieczynnego automatu do gier, który straszyl z plafonu migającym smokiem, były toalety.

Robert spojrzal na Michała.

– Co robimy?

– Jak to co? Idziemy. Tylko się nie wygadaj, kurwa. Niezła laska, co?

– No, ładna.

– Ja pierdolę. I sama do nas podeszła – zapalił papierosa i patrzył zadowolony w stronę wejścia.

Na początku sali zwolnił się stolik. Michał zamyślony obserwował ludzi. Kiedy zrozumiał, że coś jest nie tak, poczuł wypieki na policzkach. Samotny chłopak w rozpiętej granatowej kurtce, pod którą miał ciemnoczerwony sweter, zamykał właśnie drzwi i rozglądał się po sali. Podeszedł do zwolnionego przed chwilą stolika i przyglądając się ludziom położył rękę na oparciu krzesła. Patrzył wystarczająco długo, by być zauważonym.

Nie siedziała z nimi dziewczyna, więc nie zwrócili na siebie uwagi. Przesunął tylko po nich wzrokiem odwracając się w stronę baru. Odwinął rękaw kurtki i sprawdził, ile się spóźnił. Poszedł do drugiej części knajpy. Doszedł do połowy i stanął, czekając, aż Laura podejdzie do niego. Wreszcie wrócił i usiadł przy stoliku.

Robert objął dłonią szklankę z piwem.

– Spadamy – dopił, trochę się uspokoił. – Chodź, idziemy. Zaraz tu wróci. No, chodź. Chodź, bo będzie przypał.

– Idź go zasłoń.

– Co?

– Zasłoń go. Stań bokiem do nas. Tak, żeby nas nie widział. Szybko! Idź!

– To się nie uda.

– Idź, kurwa, bo zaraz tu przyjdzie!

Chłopak wstał i zdjął kurtkę. Naprzeciwko niego, nad barem, plastikowy zegar Marlboro wskazywał dwadzieścia po siódmej. Biała wskazówka sekundnika tykała w kółko, jakby się zgubiła.

Robert zatrzymał się obok stolika, przy którym usiadł nieznajomy. Zasłonił go. Na drugim końcu sali zobaczył Laurę. Pomachał jej. Podeszła do Michała, który zapytał ją o coś, ubierając się i odgradzając ją od stolika przy wejściu. Poszedł pierwszy. Zagadywał dziewczynę. Podeszli do Roberta i wyminęli go. Dołączył do nich.

Zimny lutowy wieczór przywitał ich rześkim powietrzem. Światła samochodów przecinały pobliskie skrzyżowanie.

– Chłodno – Laura założyła rękawiczki. – Idziemy?

– Tak, tylko weźmiemy cię w środek. Może będzie ci cieplej – zażartował Michał. – I będziesz bezpieczniejsza.

– Dobrze. U Kaśki będę mogła z kimś zatańczyć?

– Jak go sprawdzimy, to tak.

Stanęli na przejściu dla pieszych czekając, aż zmieni się światło. Michał poprawił sobie czapkę. Przeszli jezdnię i skręcili w prawo. Park był niedaleko, trzecia ulica w lewo. Nie był duży. Tworzyło go kilka alejek, eliptyczne oczko wodne z łukowatym mostkiem, rozrośnięte drzewa, kępy krzewów przypominające w nocy ciemne balony, plac zabaw, mała nieczynna fontanna obsadzona różami zakrytymi przed mrozem.

Robert i Michał, zwany Kawą albo Pierdolcem, przychodzili tu popijać browarek z kumplami. To był ich azyl, lubili go. Nie śmiecili. Butelki i nie-

dopałki wrzucali do kosza. Pełna kultura. Teraz nie wiedział, co Kawa chce zrobić. Musiał coś wymyślić. Za chwilę dziewczyna zrozumie, że ją okłamali. Wyrwali towarek – miła rzecz, nie pierwszyczna – ale nigdy nie zdarzyło się, żeby taka laska sama do nich podeszła. Wcześniej wszystkie, które bajerowali obcykaną gadką szmatką chciały się pobawić i dobrze kumały, o co chodzi. Wtedy Kawa zapraszał je do Beaty. Kupowali piwo albo wódkę, zostawały na noc i jak się nie spiły, to sobie poruchali. Gdy trafili na cnotki, które musiały być w domu o dwudziestej pierwszej, to ich strata, niech spierdalają.

Ona ich zaczepiła. Wszystko stało się szybko. Jak na filmie. Tak ładnej dziewczyny dawno nie widział. Zaczynał Kawę rozumieć. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Kitował lepiej niż akwizytor. Potrafił tak wykrzywić gębę, że wyglądał na super gościa. Właśnie taki był, jak dzisiaj. Zagrał po mistrzowsku. Mimo że potwornie ściemnił, wytrzymał, nie odkręcił. Może miał jakiś plan? Musiał. Może oszuka ją jeszcze raz, skombinuje samochód i pojadą, gdzie chciała? Wtedy wszystko się wyda i nie pomogą bajery. Niezłe gówno. Może pojadą do Beaty? Musiałby ją zahipnotyzować. Ma jakiś plan, na pewno – zawsze dobrze kombinował, chociaż teraz chyba przegiął. Powinien jej powiedzieć. Wyszloby na to, że się nabrała. Nie nasza wina, że jest łatwowierna – pomyślał. Zobaczył ją i padło ostro na niego. Ładna jest, fakt. Fajne ma cycki i zgrabna jest, szczupła. Kurwa, ale trafili. Coś wymyślą. Taka okazja nie może się zmarnować. Laura – powtórzył. Dobrze, że nie rozmawiali za długo, nie zadała żadnego głupiego pytania. Nie musieli się tłumaczyć. Za dużo wątpliwości, to wzbudziłoby podejrzenia. Teraz opowiadała o sobie. Ma młodszego brata, ojca nie pamięta, zostawił ich, kiedy była mała, mama pracuje jako sekretarka, pierdoły same. Mieszka niedaleko, na Smolnej. Kawę zatkało, jak to usłyszał. Przestraszył się, że może nas rozpoznać, zapytał więc, czy często przychodzi do „Pół nuty”. Nie. Kiedyś przyczepił się do niej jakiś napaleniak, od tamtej pory rzadko bywa. Ulżyło nam. Mieszkała tak blisko i nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Na pewno ktoś by ją zauważył – wpada w oko. Ale fart. My gdzie mieszkamy? Na Woli. Niezły kit.

Minęli fryzjera. Przed nim, na końcu budynków widać było ciemną ścianę parku.

– Daleko od siebie mieszkanie?

– Nie. W tym samym bloku co Kawa. Co Michał – Robert poprawił się szybko. – Dwie klatki od siebie. Znamy się z podwórka.

– Masz przydomek Kawa?

– Uhm. Tak mnie nazywają. Wiesz, jak to z kolegami. Jak ktoś coś kiedyś wymyślił, to na amen. Choćby to było niespecjalnie fajne. A dlaczego pytasz?

– Oryginalne. O Kawie jeszcze nie słyszałam. Przynajmniej nie jesteś siwy, mały albo gruby, czy misiek.

– No, na szczęście. Na ciebie jak mówią?

– Laura, po imieniu.

Minęli wejście do sklepu. Samochody stały ciasno zaparkowane przy krawężniku, uliczka była wąska. Niektóre okna rozjaśniało światło uwiecznione za zasłonami w pokojach. Na parterze ktoś głośno oglądał teleturniej. Zapytała, skąd znają Kaśkę.

– Przypadek. Leżeliśmy obok siebie nad morzem. Zaczęliśmy rozmawiać. Następnego dnia spotkaliśmy się znowu. Tak się zaczęło.

– Byłeś w Łapach?

– Byłem. Byliśmy. Z Robertem, jeszcze jednym kumplem i koleżanką. Pamiętasz? Kaśka ładnie się opaliła.

– Była super pogoda.

– Miałam wtedy z nią jechać, ale robiłyśmy z mamą remont mieszkania. Żałuję, bo mówiła, że było super. Byliście w tym roku? Nic o was nie mówiła.

– Nie, teraz nie. Pojechałem do Anglii do brata popracować i zarobić trochę, a Robi miał chorego ojca, musiał się nim opiekować.

Weszli do parku. Zdeptany śnieg skrzypiał pod butami. Byli sami. Skręcali w prawo, w kierunku zamrażniętego jeziora. Z alejki z naprzeciwka wyszła pośpiesznie kobieta z psem myśliwskim na smyczy. Ubrana w wizytowe futro, owinięta szalem. Zmarznęte drzewa przypominały druczane rzeźby. Powietrze było ciche i zimne.

– Masz ogrzewanie w samochodzie?

– Oczywiście. Zimno ci?

– Nie. Ale lubię ciepło.

Doszli do jeziorka. Było wąskie i długie, jak na park tej wielkości. Obsadzone krzewami, które tworzyły gdzieniegdzie złowrogą zasłonę. Woda zamrzła pod koniec listopada. Łód miał jak co roku kilkanaście centymetrów grubości.

– Chodźcie, zobaczymy, czy jest gruby – zaproponował Michał. Wszedł na trawnik kierując się w stronę brzegu.

– Zwariowałeś. Przecież wpadniesz do wody. Mieliśmy bez przygód jechać do Kaśki. Jesteśmy spóźnieni – przypominała.

– Nie denerwuj się. Nie będę na niego wchodził.

– To jak chcesz sprawdzić?

– Rzucę kamieniem.

– Ale masz zabawę. Daj spokój. Chodź.

– Nie bój się. Zobacz, prawie przezroczysty. Musi tu być czysta woda. Zobacz Robi! Chodź Laura – poszedł pod mostek szukając kamienia. Znalazł kawałek cegły.

– Mam – pokazał im. – Laura, odlicz do pięciu, rzucam i idziemy. Zobaczcie tylko na ten łód, ale przezroczysty. Ciekawe, czy w lecie pływają tu ryby?

Robert podszedł do brzegu. Laura niechętnie poszła za nim. Stanęli wszyscy obok siebie. Przez chwilę nic nie mówiąc patrzyli na jeziorko. Kawa poczuł, jak robi mu się ciepło, a spodnie napinają się w rozporku. Nie miał samochodu. Nie był na wakacjach nad morzem. Nie znał żadnej pierdolonej Kaśki. Nie miał matury. Nadzianych starych. Generalnie chujowo. To samo dziadostwo od kilku pierdolonych lat. Długo jeszcze?

– Często tu przychodzisz? – zapytał.

– Codziennie, jak idę do autobusu.

Podszedł do niej. Miał rzucać, ale spojrzał jakoś inaczej.

– Obciągałaś już tu kiedyś?

– Słucham?

Cofnęła się nieznacznie, przyciskając pod pachą torebkę. Musiała się przesłyszeć. Odwróciła się do Roberta z iskierką nadziei. Zobaczyła płonącą w podnieceniu twarz, błyszczące oczy.

Już nie mógł się powstrzymać, zupełnie jak Kawa. Ale była ładna.

– Nie mów słucham, bo cię wyrucham! – krzyknął. Podbiegł do niej i uderzył ją pięścią w twarz.

Chwyliła się za nos. Pomagając sobie ramieniem zrzuciła torebkę. Wiedziała, że musi się bronić. Ścisnęła ją za pasek i krzykiem dodając sobie odwagi natarła na Kawę. Chciała go uderzyć głową, ale cofnął się, robiąc unik. Śmiał się. Odwróciła się do tyłu machając torebką. Chyba trafiła. Schyliła się i podbiegła desperacko, żeby wałnąć go głową w brzuch. Co będzie, to będzie. Wyciągnęła nogę, podcinając go. Przewrócił się zaskoczony, puszczać cegłę z ręki. Upadł i uderzył tyłem głowy w paliki usztywniające brzeg. Nie wstawał. Po chwili jego głowa odchyliła się i powoli dotknęła lodu.

Odwróciła się do drugiego chłopaka. Chciało się jej wyć. Oddychała szybko, niepewna co się stanie. Nie zdawała sobie sprawy, że połyka krew z nosa. Stała rozgrzana agresją, gotowa walczyć. Nie chciała uciekać, wołać pomocy, widzieć, gdy będzie ją gonił i rzuci się na nią. Wołała nie myśleć, co wtedy się stanie.

Chłopak, dziwnie skurczony, jakby miał zakwasy, podbiegł do Kawy. Wyminęli się, jak na chodniku. Uklęknął przy koledze, niczym giermek przy rycerzu. Dotknął szyi. Nawet gdyby tętnica pulsowała, nie zauważyłby tego. Był zbyt przejęty. Patrzył na Kawę, którego nieruchome oczy mówiły wszystko. Zaciśnął do bólu palce. Ta dziwka zabiła mu kumpla. Wiedział, że będą kłopoty, ale nie musiała aż tak zareagować. Pierdolona lalunia z liceum. Odwrócił się do niej wstając powoli.

– Ty suko.

Laura otwierała torebkę, nie spuszczając z niego oka i cofała się do alejki. Przez moment załamana myślała, że nie ma tam tego, czego szukała. Zapomniała wziąć z domu, wypadł jej, albo wyjął go Daniel. Rozpoznawała

znajomy kształt notesu, szminkę, chusteczki higieniczne, szczotkę do włosów, długopis, klucze do mieszkania, których dotknięcie wywołało łzawienie. Wymacała tabletki, trafiła na cukierki, złożoną kartkę papieru, pod którą wreszcie z ulgą znalazła pojemnik z gazem. Złapała go zachłannie i podziękowała Bogu.

Dostała go na Wigilię, bardziej jako pożyteczny drobiazg, którego oby nigdy nie musiała używać. Nie chciała go nosić. Nie sądziła, żeby kiedykolwiek był jej potrzebny. Coraz częściej jednak wracała późno i po namowie mamy włożyła go do torebki. Psiknęła kiedyś, chcąc zobaczyć, czy działa.

– Co tam masz, suko? – zapytał drwiąco i podszedł bliżej.

– Gówno!

Nie przestawała patrzeć w jego wściekle błyszczące oczy. Przełożyła torebkę do lewej ręki, w prawej chowając gaz. Był już kilka kroków od niej. Położyła kciuk na włączniku i rzuciła się na niego wyciągając rękę i krzycząc desperacko.

Doskoczyła, przystawiając mu do twarzy pojemnik z wydostającym się gazem i walnęła torebką. Z całej siły kopnęła go w kość piszczelową. Odbiegła kaszląc i krztusząc się. Zgięty, przyciskał ręce do klatki piersiowej nie mogąc oddychać. Chwiejąc się na nogach, podbiegła ponownie. Chwyliła go za włosy i przystawiła do twarzy metalowy pojemniczek naciskając spust. Usłyszała przedziwny krzyk. Chłopak miał torsję, upadł na śnieg. Poczuła jak po brodzie ścieka jej ślina, słabnie wzrok. Dusila się. Upuściła gaz i stała nerwowo dysząc. Kręciło się jej w głowie. Leżał zgięty w pół. Rzucany drgawkami wydawał charkotliwe odgłosy. Chwyliła go za ramiona. Poczekała, aż miną jej zawroty głowy na tyle, żeby się nie przewróciła. Ścisnęła dłonie na jego kurtce i pociągnęła w stronę jeziora. Zaparła się butami o brzeg i zepchnęła chłopaka na lód. Zobaczyła, jak bezwładnie spada, jak tafla trzeszczy i pęka. Usłyszała przerywany głos, wołał coś. Na powierzchni lodu pojawiła się ciemna kałuża wody. Zniknął.

Patrzyła w falującą otchłań. Pomyślała o tym, że miała jechać do Kaśki, o domu. Dysząc zastanawiała się, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Wyrzuciła torebkę i szlochając biegła przed siebie. Przez park, koło stacji benzynowej, przez ulice, na których ludzie odwracali się za nią.

Szybko i głośno otworzyła drzwi komisariatu zwracając na siebie uwagę dyżurującego policjanta. Przyłożyła twarz do szyby, jakby chciała ogrzać policzek. Ubrudziła ją krwią. Płacząc, zaczęła coś mówić, ale urwała po kilku słowach.

W odpowiedzi na pytania policjanta tylko kiwała głową.

Została na komisariacie. Umyła twarz, policjanci przynieśli jej koc i tabletki na uspokojenie. Nad jeziorkiem, tak jak powiedziała, znaleźli zwłoki mężczyzny, a metr od brzegu wyłamaną w łodzie dziurę. Zawiadomili straż pożarną, prokuraturę, pogotowie i ekipę dochodzeniową.

Pani prokurator, kobieta po czterdziestce, ze stażem pracy na stanowisku i twarzą autorytatywnie maskującą słabości wymiaru sprawiedliwości, miała zajęty dzień. Wróciła do domu przed dwudziestą pierwszą – później niż zwykle – do oglądającego telewizję syna, córki rozmawiającej przez komunikator internetowy oraz męża, z którym planowała się rozwieść. Telefon komórkowy zadzwonił po kąpieli. Odebrał chłopiec. Po chwili ją zawołał. Spytała go, kto dzwoni

– Jakiś pan z policji.

Wzięła słuchawkę, przedstawiła się. Komendant również, przepraszając, że dzwoni o tej porze. Dziesięć minut relacjonował, co się wydarzyło i odpowiadał na pytania. Prokurator wiedziała, że musi jechać. Poprosiła, żeby przysłał samochód. Powiedziała, żeby nie przeoczyli żadnego śladu, przypomniała, że jest noc, żeby byli dokładni. Wysłał najlepszą ekipę. Sam jedzie na miejsce. Dwie godziny później wracała z nim na komisariat. O drugiej w nocy skończyła przesłuchiwać Laurę. Dała jej do podpisania protokół. Dziewczyna nie czytała go. Wysunęła mechanicznie rękę i jak w letargu zostawiła na kartce rozedrgane słowo. Przyznała się i opowiedziała cały wieczór. Gdzie się poznali, co robili, o czym rozmawiali, że gdy szli przez park na stację benzynową, nagle zatrzymali się koło mostku, ten w czerwonym swetrze chciał sprawdzić, czy lód jest gruby. Wziął kamień, miał rzucać, ale

był wulgarny. Bała się. Drugi stał z tyłu. Uderzył ją pięścią w twarz i też był wulgarny. Chcieli ją zgwałcić. Nie wiedziała dlaczego. Broniła się. Kopnęła i wyrzuciła tego z kamieniem. Prysnęła gazem i pchnęła na łód tego drugiego, żeby nie mógł wstać i nie bieść za nią.

Nie wiedziała, że obu zabiła. Co się stało, powiedziała jej prokurator po podpisaniu zeznania, Laura słuchała oślepiała. Zatrzymali ją na czterdzieści osiem godzin.

Rano dowiedziała się, że została oskarżona o podwójne zabójstwo. Zostaje w więzieniu na trzy miesiące.

Przygotowanie materiałów procesowych zajęło kilka tygodni. Z powodu zapelnionego terminarza sąd pierwszą rozprawę wyznaczył na początek września. Przedłużono jej areszt o kolejne trzy miesiące.

Rodzina zebrała pieniądze i wynajęła dobrego adwokata, który niewiele jednak pomógł. Sąd nie uwzględnił wniosku o obecność kamer, dzięki którym relacje z procesu byłyby oglądane przez widownię w większości solidaryzującą się z Laurą. Zdaniem sędziów, mogłoby to stwarzać nacisk, aby kara nie była wysoka.

Zainteresowanie sprawą było duże. Stacje radiowe i telewizyjne informowały o procesie. Ale tylko tyle, bez szczegółów, do których z powodu utajnienia nie miały dostępu. Rozprawy przebiegały bez zakłóceń, a interpretacja materiału dowodowego nie budziła zastrzeżeń. Nie było świadków. Wszyscy przesłuchiwanie potwierdzili ustaloną wersję.

Laura zmieniła się, oczekując na wyrok. Schudła, skórę miała bladą, twarz obojętną, oczy podkrążone.

Sąd nie przyjął argumentu, że użyła gazu w obronie własnej. Nie przekonało go to, że oskarżona umówiła się z inną osobą. Sama podeszła do zamordowanych. Poza przedstawieniem się i zapytaniem jednego o imię, nie potwierdziła w żaden inny sposób ich tożsamości, a twierdzi, że spotkała się z zamordowanymi pierwszy raz. Spędziła z nimi przy stoliku około piętnastu minut, w miłej atmosferze. Sąd nie uzyskał korzystnych dla oskarżonej odpowiedzi na kluczowe pytania. Dlaczego, kiedy została napadnięta, nie

wzywała pomocy? Dlaczego nie uciekała z miejsca zdarzenia? Dlaczego zepchnęła drugiego z mężczyzn na łód, gdy już leżał obezwładniony gazem? Istniały jednak dwie okoliczności łągodzące. Wcześniejsza niekaralność oraz druga – w znaczącym stopniu wpływająca na wysokość kary – to, że natychmiast zgłosiła się na policję.

Została skazana na dwanaście lat.

Skierowano ją na południe, blisko granicy. Prawie czterysta kilometrów od domu. Do przerobionego na więzienie XVIII-wiecznego kompleksu budynków byłego klasztoru sióstr Efezjanek.

Pierwsze, równocześnie ostatnie, piętro było oddziałem pod specjalnym nadzorem, w którym przebywały kobiety skazane za poważne przestępstwa, odsiadujące wyroki dłuższe niż dziesięć lat. Cele były czteroosobowe, czterdzieści dwie, ponumerowane kutymi cyframi nabitymi na grube drzwi. Laurę przydzielono do numeru jedenastego. Zatrzymała się, gdy zatrzymały się dwie odprowadzające ją strażniczki. Czekala, aż otworzą zamki i wprowadzą ją.

Przed sobą trzymała niedużą plastikową skrzynkę, którą dostaje każda nowoprzybyła, żeby przenieść w niej niezbędne rzeczy. Są dwie takie skrzynki w więzieniu, po jednej na piętrze.

Cela była chłodna i przestronna. Przez zakratowane okno wpadało późne jesienne słońce. Ściany nie były pomalowane, popielata zaprawa, którą je wygładzono użyczała im koloru. Po obu stronach, nad piętrowymi pryzmami, wisiały pamiątki. Głównie dziesiątki pocztówek: z Wenecji, Rzymu, Nowego Jorku, tropikalnych plaż, nocnego Tokio, Paryża, pustyni z piramidami, Wawelem i Wisłą sprzed stu lat. Było ich mnóstwo. Wisiały też poźółtkie życzenia wielkanocne, mała bożonarodzeniowa choinka, fotografia Jezusa nad Rio de Janeiro i Matki Boskiej z cudownego obrazu, błogosławione pozdrowienia ze świętych miejsc oraz plakat Toma Hanksa w mundurze, któremu na przeciwległej ścianie towarzyszył kalendarz z chippendalesami. Przy nim suszone kwiaty, a na końcu, przy oknie, mapa ścienna z odręcznymi notatkami i miastami znaczonymi krzyżykami.

Na środku podłogi leżał dywanik, który już dawno powinien zostać wyrzucony. Za drzwiami, w lewym rogu, stał kwadratowy stolik nakryty obrusem w zgniłozieloną kratę. Na nim radio z wystawioną anteną i jednym zakresem ukf. Na ścianie przymocowano niedużą szafkę. Naprzeciwko stała większa, z czterema szufladami na rzeczy osobiste. W prawym rogu ubikacja zasłonięta granatową kotarą. W części higienicznej była także umywalka, w której kobiety się myły, nad nią wisiało prostokątne lustro zawieszone w poprzek oraz suszarka na talerze. Pod umywalką stała plastikowa miska z pudełkiem proszku do prania ręcznego w środku. Z sufitu zwisała żarówka w zrobionym ze słomkowego kapelusza i drutu kloszu.

Laura zobaczyła trzy współlokatorki. Spojrzała na nie, a właściwie w ich kierunku. Gdyby strażniczki zapytały, ją jak wyglądają, odpowiedziałyby, że nie wie. Była jak zgubiona turystka z dalekich stron, zrezygnowana i nie mająca już siły szukać drogi.

Kobiety, z którymi miała mieszkać, spędziły w więzieniu sporo czasu i już przy pierwszym kontakcie potrafiły ocenić skazaną. Teraz, co zdarza się rzadko, nie wiedziały nic. Żaden gest, ruch, a właściwie jego brak, nie dostarczały informacji o dziewczynie. Nie martwiły się jednak. Doświadczenie podpowiadało im, że na szczegóły przyjdzie właściwy moment. Zaskoczył je tylko jej młody wiek, pewnie była najmłodsza w więzieniu, ale zdarzały się i młodsze.

Dwie kobiety stały przy lewej pryczy. Trzecia siedziała na dolnym łóżku po prawej stronie. Paliła papierosa, w rękę trzymała popielniczkę zrobioną z puszki po jedzeniu.

Więzienie leżało na zboczu wzgórza, które było początkiem niewielkiego masywu. Otaczały je łąki odwiedzane dwa razy w roku, w sianokosy, przez traktory. Na górze stykały się z lasem, poniżej zamieniały się w pola uprawiane w całej dolinie. Na przeciwnym brzegu była dwupasmowa autostrada prowadząca do granicy. Na wysokości więzienia skręcała, by ominąć miasteczko. W nocy, gdy niektóre kobiety nie mogły spać, zbyt mocno tęskniły, albo chciały po prostu popatrzeć, obserwowały migające światła ciężarówek

oddalonych o kilka kilometrów. Miały różne myśli. O szóstej była pobudka. O siódmej śniadanie. Posiłki jadły we wspólnej sali przedzielonej szerokim przejściem. Pilnowały ich spacerujące po nim strażniczki. Z przodu siedział parter, za nimi długonogie – skazane, które miały najdłuższe wyroki – które wpuszczano na końcu. Poranny zapach rozpuszczalnej kawy, powtarzający się jak rytuał, miał dla nich tę samą wartość, co kolejna zerwana z kalendarza kartka.

W każdym więzieniu harmonogram zajęć skazanych spełnia rolę skromnie wiszącej dekoracji, wymuszonej przepisami prawa. Co tydzień wpisuje się daty, nie zmieniając tematu. Stary plan trafia do archiwum w pokoju naczelniczki i może być w każdej chwili pokazany podczas kontroli z nadzoru. Jego treść wszyscy znają na pamięć, jak pierwszą zwrotkę głupiej piosenki, albo wierszyk z podstawówki. Składa się z sześciu punktów. Trzy informują o godzinach posiłków, jeden o spacerze, jeden o godzinach rozpoczęcia i zakończenia pracy skazanych, a ostatni o wypłacie wynagrodzenia dla pracujących.

Nadzieja i sens albo sens i nadzieja. Wolni ludzie znają te uczucia. Dla większości najważniejszy jest sens – wytyczenie szlaku, którym się idzie. A nadzieję, dodatkowo, można sobie mieć.

W więzieniu na ogół nikt nie szuka sensu. Uniemożliwiają to cztery ściany. Nadzieję ma każdy. Nie ma w tej sprawie lepszych czy gorszych, odpornych i nie. Chwyta ją z drugim haustem więziennego powietrza, gdy zamyka się brama. Ich nadzieja się spełni. Wiedzą nawet kiedy. Muszą tylko poczekać. Z tego powodu wszyscy mówią, że w więzieniu najlepsze jest wyjście.

Długonogie nie lubiły parteru z różnych przyczyn, a miejsce, w którym się znajdowały szczególnie łatwo wywoływało złe relacje. Zazdrościły im krótszych wyroków, częstszych odwiedzin, lepszego traktowania, drobnych względów u naczelniczki, a także pracy w zakładzie w pełnym wymiarze godzin, prawie jak na wolności.

Nieduża regionalna fabryka słodczych była w miasteczku.

Przez pięć dni w tygodniu o siódmej czterdzieści więzienny autobus zabierał wybrane skazane dowożąc je do pracy. Wracał i robił ostatni, identyczny

kurs. W sumie przewoził sześćdziesiąt cztery kobiety. Do godziny piętnastej miały zajęcie. Wszystkie w hali produkcyjnej, w hałasie maszyn i kiepskiej wentylacji, w warunkach, w których nikt z miasteczka nie chciał pracować za takie pieniądze. Podawały folię, składniki do wyrabiania masy, wymieniały syropy, znakowały terminami przydatności, przynosiły kartony, zdejmowały słodycze z taśmy produkcyjnej i pakowały do pudeł, a także – jeżeli umiały – naprawiały drobne usterki, sprzątały. Otrzymywały połowę przysługującego im wynagrodzenia, drugą pobierało więzienie. Praca była dla tych kobiet tym, czym wizyta chorego u lekarza, ale też powodem niechęci długonogich. One prawie wszystkie zdawały sobie sprawę, że nie będą miały dokąd wrócić. Ich domy rozsypały się po latach rozłąki. Mężowie mieli kochanki, dzieci założyły rodziny albo zerwały z nimi kontakt. Czuły się gorsze.

Żadne więzienie nie miało naczelniczki takiej jak one. Nie przestrzegając obowiązującego w przypadku długoletnich wyroków zaostrego prawa, raz w tygodniu organizowała im w przyzakonnej szwalni zajęcia, wyciągając je tym samym z atmosfery kamiennej celi.

W rogu głównego placu, w piwnicy oświetlonej światłem jarzeniowych lamp, stało trzydzieści jeden maszyn do szycia. Kiedyś pracowały na nich siostry zakonne szyjąc stroje dla zgromadzenia. Zniesiono je tam podczas przerabiania klasztoru na więzienie, z zamiarem sprzedaży lub oddania na złom. Naczelniczka dowiedziała się o tym i tknięta przeczuciem, załatwiła w sobie znany sposób, że maszyny zostały. Były to stare, żelazne, ciężkie jak cholera, maszyny Beriet'a, z napędem przenoszonym po kole przez skórzaną pasek. Jedyne co trzeba było w nich wymieniać, to łamiące się albo stępione igły. Sfatygowane paski pamiętały jeszcze czasy, gdy kobiety w czarnych kapтурach konserwowały je pszczelim woskiem. Piwnica, w której stały miała swoją aurę, wyczuwalną przez każdego, jakby ostatnia z sióstr przed opuszczeniem budynku rzuciła czar, niby świadectwo obecności, przewyciężające każde przeznaczenie budynku. Naczelniczka raz w tygodniu, pod pretekstem kontroli, przyciągana jakąś niewyjaśnioną siłą, stawiała przy uchylonych drzwiach i patrzyła na kobiety, słuchała leniwego turkotu maszyn.

Jednak codzienne życie toczyło się na górze.

W celi numer jedenaście mieszkaly cztery kobiety. Tworzyły nieskomplikowany, więzienny organizm i jak większość więźniarek połączyły się w grupę, aby nie dać się wykorzystać. Na parterze zrobiły to wszystkie, na górze ponad połowa długonogich. Reszta skazanych to te, które nie potrzebowały niczyjej pomocy albo które nie nadawały się do wypełniania żadnej roli.

Laurę przydzielono w miejsce zwolnione przez Celinę Bobiel, która, jak okazało się podczas procesu, pierwszy raz w życiu usłyszała w głowie mówiący głos. Płynący z bliska. Raz z pokoju, raz z kuchni, raz z tyłu zza pleców. Szukała go dookoła i zasłuchana w jego niepowtarzalny ton spełniła, co kazał. Podeszła do siostry leżącej w łóżku oświetlonym nocną lampką i naciągnęła jej kołdrę na twarz dociskając z całej siły. Przerwała, gdy w ulotnym zamyśleniu zdała sobie sprawę, że trzymała za długo. Wstała więc, odszukała i spakowała do torebki oszczędności, włożyła palto i wyszła. Wzięła palto siostry – było nowsze, nie takie ciężkie jak jej. Po pięciu dniach wróciła i podpaliła mieszkanie. Wtedy ją zatrzymano. W więzieniu zachowała spokój przez dwa lata. Później im częściej była zaczepiana i próbowano ją wykorzystać, tym bardziej była wystraszona, a nerwy napinały się jak postronki. Krzyczała. Często płakała. Umieszczano ją w izolatce, kilkakrotnie leczono w szpitalu. Bez efektu. W więzieniu musiała więc służyć, oddawać pieniądze z renty lub lepsze posiłki. Długonogie bluźniły na nią, wyszydzały pod prysznicem, chciały zrobić tatuaż. Wytrzymywała to długo. Później niespodziewanie odnalazł ją głos. Po drodze na śniadanie na schodach rzuciła się na dwa potwory z trzydziestej celi. Przygniotła je masywnym ciałem, gdy razem spadły. Na dole złapała głowę najgorszej, której nienawidziła. Uderzała nią o posadzkę, dopóki jej nie odciągnięto. Badania psychiatryczne miały stwierdzić, czy zostanie w więzieniu, czy przeniosą ją do wariatkowa. W miejsce zwolnione przez Calineczkę – tak więźniarki zwracały się do Celiny Bobiel – przydzielono Laurę.

– Wchodź! – usłyszała od strażniczki.

Zrobiła dwa kroki.

Kobieta w mundurze wyminęła ją.

– To jest od dzisiaj twoje łóżko – wskazała lewą górną pryczę. – Która szuflada jest wolna? – spytała opartą o pryczę skazaną.

– Na dole. Ostatnia.

– Włóż tam rzeczy. Łóżka i szuflady nie wolno zamieniać. Zapisujemy to w dokumentach. Żebyśmy wiedziały, gdzie cię szukać. Resztę ustalisz z nimi. Odwróciła się.

– Madzia, daj jej podpisać.

Strażniczka weszła, trzymając na plastikowej podkładce skserowany formularz.

– Podpisz wyraźnie. Datę też napisz. Pamiętasz, który dziś jest? – wzięła od Laury skrzynkę i podała długopis. Nie czekając na odpowiedź powiedziała: – 28 października 1998.

Odebrała podpisaną kartkę i oddała rzeczy Laurze.

– Miłego pobytu – życzyła jej strażniczka, która ją wprowadziła. – One nie są najgorsze – kiwnęła na skazane. – Zawsze możesz zawołać którąś z nas, ale tylko w uzasadnionych przypadkach. Słyszałaś? Słyszałaś, co mówię?

Zobaczyła drobny ruch głową, więc wyszły zamykając głośno drzwi. Po chwili w oba zamkach przekręciły dwukrotnie zasuwę.

Rzut kostką to prawdopodobieństwo, czasami szczęście. W celi numer jedenaście Laura trafiła nie najgorzej.

Po lewej stronie przy piętrowej pryczy stała starsza brunetka – Jadwiga Rosińska z domu Lachaj. Podniszczone rysy twarzy oraz spojrzenie poświadczwały historię jej kilkunastu ostatnich lat. Wdowa po Wiktorze, emerytowanym pułkowniku, sprawcy domowego piekła. Kiedyś matka trzech synów, obecnie jednego. Po celowym postrzeleniu przez męża w kolano, posiadaczka drugiej grupy inwalidzkiej. Jedna z nielicznych długonogich na oddziale, która pozycji nie zawdzięcza sile. Skazana na trzynaście lat.

Laura napotkała wzrok młodej kobiety, także opartej o pryczę. Krótko ostrzyżona tleniona blondynka z odrostami i nadwagą. Miała oblicze wrabiające w stan niepewności, ale po tym co przeszła nie mogła mieć innego.

Beata Magiera zmieniła się jednak dzięki uporowi naczelniczki, która z sukcesem stłumiła jej agresję. Inna jest również dzięki Jadzi Rosińskiej. Zdarzyło jej się kilka razy złamać regulamin, ale to tylko umocniło pozycję celi. Zostało jej siedem lat.

Trzecia z kobiet – Aneta – wstała kaszląc i wydmuchując resztki dymu. Podeszła do parawanu. Odsunęła go, podniosła klapę i wyrzuciła niedopałki i popiół z puszki. Była pięć lat starsza od Laury. Urodziła się w Słubicach. Aneta Maechts. Sześć lat temu w wakacje wybrała się z koleżanką na zakupy na bazar. Mamie kupiła zestaw noży, ojcu podwójną koncertową płytę Deep Purple, sobie kilka bluzek i parę drobiazgów niedrogiej biżuterii. Później poszły do wesołego miasteczka. Niewiele brakowało, a zostawiłaby tam torbę. Wieczorem, gdy wydały prawie wszystkie pieniądze, spacerowały oglądając rozświetlone karuzele i klaunów zabawiających dzieci. Doszły do strzelnicy, na której Sylwia, koleżanka, chciała sprawdzić celność. Spędziły tam pół godziny dobrze się bawiąc, chłopak z obsługi pozwolił im nawet strzelać kilka minut za darmo. Mogłyby pewnie zostać dłużej, ale kończył się dzień i spieszyły się na autobus. Poza tym wesołe miasteczko już się wyludniało. Po drodze Aneta poszła do toalety. Sylwia czekała na nią przy budce z lodami. Kiedy wychodziła z toalety, podszedł do niej chłopak, ten ze strzelnicy. Zatkanął jej usta ręką, wciągnął w krzaki, zgwałcił. Gdy skończył, macał piersi coś mówiąc. Ona w tym czasie podciągnęła nogą torbę z zakupami. Wyciągnęła nóż. Wbiła mu go w plecy. Potem ciężko raniła mężczyznę, który przybył z pomocą, gdy zobaczył ją siedzącą półnago.

Odłożyła popielniczkę. Stanęła przy Laurze. Wzięła jej skrzynkę i podała Beacie.

– Siadaj – powiedziała wyraźnie, ale z akcentem. Brzmiała, jakby trzymała klocki w ustach. Pod uchem miała podłużną bliznę.

– Jestem Aneta. To pani Jadwiga, to Beata. Jak masz na imię?

– Laura.

– Jesteś niegrzeczna? – cofnęła się do ściany, by przyjrzeć się nowej. Nie wiedziała, czy bliżej jej do sieroty czy zjawy, która powoli się materializuje.

– Chyba nie.

– To źle – mówiła jakby gwarą. – Ile dostałaś?

– Nie wiem – Laura była w innym świecie.

Aneta zaśmiała się i spojrzała na współtowarzyszki.

– Ile dostałaś? – powtórzyła rozbawiona.

– Czego?

– Jaki masz wyrok? – wtrąciła się najstarsza z kobiet.

– O to chodzi – westchnęła. – Dwanaście lat.

– Rekordu nie ma – oceniła Aneta. – Skąd jesteś?

– Z Warszawy.

– Dziecko – powiedziała najstarsza – włóż rzeczy do szuflady. Piłaś kiedyś herbatę ze szklanki?

– Tak – podeszła do szafki, aby włożyć do niej to, co przyniosła w skrzynce.

– Pijecie coś? – zwróciła się do pozostałych.

– Dla mnie kawa – powiedziała Aneta.

– Laura, zrób dla siebie herbatę i dwie czarne kawy. Dla mnie też. Otwórz szafkę, wyjmij, co potrzebujesz. Pod stolikiem jest kontakt. Beata, podaj czajnik i szkło dla niej.

Laura wyjęła sześciokątną puszkę z herbatą. Z suszarki nad umywalką dwa kubki i łyżeczki. Wzięła także cukier i kawę, postawiła obok herbaty. Dziewczyna z nadwagą podała jej czajnik i szklankę. Kobiety patrzyły, jak porusza się w nowym miejscu. Sprawdziła, czy w czajniku jest woda i włączyła go.

– Najpierw do kontaktu.

– Tak. Przepraszam.

Schyliła się pod stół i włożyła wtyczkę w gniazdko. Usłyszały cichy szum wody. Aneta podeszła do okna i wyszarpując je z drewnianej futryny otworzyła.

– Nie przynosisz nam wolności – zwróciła się do Laury.

Pozostałe dwie kobiety uśmiechnęły się. Słyszały to stwierdzenie tyle razy, że nabrało znaczenia żartu.

– My tu na nią długo czekamy i nie możemy się doczekać.

Laura nasypała kawę, włożyła torebkę z herbatą.

– Nie przynoszę – odezwała się po chwili, jakby wcześniej nie usłyszała.

Aneta Maechts wystawiła proszek z miski pod umywalką, postawiła ją do góry dnem i usiadła na niej przed nową współlokatorką, która nalewała wrzątek. Sięgnęła po puszkę przerobioną na popielniczkę.

– Podać ci? – spytała Jadwigę.

– Nie. I tak muszę wstać – kulejąc na prawą nogę podeszła do stolika, wzięła kubek z kawą.

– Boisz się?

– Tak – bez namysłu, ale spokojnie przyznała Laura.

– To normalne. Każda z nas bała się na początku. Niektóre nadal się boją i ciężko im z tym. Weź się szybko do kupy. Palisz?

– Nie – ostrożnie chwyciła szklankę. Na wierzchu pływała czarna zawieszona, herbata parzyła dłonie. Odstawiła ją na stół.

– Masz rodzinę?

– Mam. Mamę i brata.

– Jak ma na imię?

– Daniel.

– Ładne imię. Ile ma lat?

– Dziewięć.

– A ty ile masz?

– Dziewiętnaście.

Jadwiga Rosińska wstała. Kulejąc podeszła i położyła jej rękę na ramieniu.

– Napij się. Mocna herbata pomaga na smutki. Jak chcesz, to powiedz, co zrobiłaś.

Laura wypila kilka małych łyków. Popatrzyła przed siebie, być może wspominając.

– Zabiłam dwóch ludzi.

Ze sposobu, w jaki to wymówiła nie można było wywnioskować, czy żałuje.

Zaczęła opowiadać.

Gdy skończyła panowała cisza. Jadwiga wstała, krzywiąc się z bólu. Dłuższą chwilę patrzyły z Laurą na siebie.

– Nikogo już nie skrzywdzą. Dobrze, że cię nie zgwałcili. Sprawiedliwości stało się zadość – zawyrokowała. – Pamiętaj o tym.

Przez okno niespodziewanie odwiedził je wiatr.

– Ciężka historia – podsumowała Beata. – Wszyscy mężczyźni to tchórze. Nienaruchani alfonsi. Pijacy i złodzieje. Pierdolone maminsynki. Ich trzeba zamykać! Nie nas! Masz u mnie kredyt.

– Co to znaczy? – obce jej były jeszcze więzienne zwroty i przyrzeczenia.

– To znaczy, że jak zrobisz coś złe, to nie pójdziesz od razu do kąta.

– Rozumiem.

Jadwiga spojrzała na zegarek.

– Za dziesięć minut dzwonią. Idziesz z nami na obiad? Chodź. Później będziesz głodna. Tu nie ma sklepiu, jak w szkole.

– Idę.

– Ciekawe, czy gruba będzie? – zastanawiała się Beata.

– W południe jej nie widziałam. Może trzymają ją dłużej? – Aneta poprawiała posłanie.

Wszystkie trzy szykowały się do wyjścia. Laura usiadła na łóżku.

– Najpóźniej rano powinna wyjść. Chyba że naczelniczka coś jej dorzuciła – dodała Beata.

– Dobrze jej tak. Niech złapie grzybicę albo syfa. Zasłużyła na to – Aneta przeciągnęła się i podeszła do Laury.

– Wiesz kiedy są odwiedziny?

– Tak. W soboty i niedziele od piętnastej do siedemnastej.

– Zgadza się.

Jadwiga poprawiała włosy przed lustrem. Na korytarzu dwa razy zadzwonił dzwonek.

– To na obiad – powiedziała.

Słyszały dźwięki otwieranych zamków i głosy strażniczek. Ustawiły się między pryzmami w dwóch rzędach, Laura stała z tyłu obok Beaty. Po kilku

minutach strażniczka odczytała ich nazwiska i poczekała, aż wyjdą. Na korytarzu dołączyły do kobiet w szeregu.

Zjadła obiad w otaczającej ją gwarnej grupie skazanych, po czterdziestu pięciu minutach wróciły do celi. Wtedy, oprócz kobiet z jej celi, nikt się do niej nie odezwał. Teraz, po ponad roku, dużo się zmieniło. To był nieudany, nieszczęśliwy czas. Poznała wszystkie sekrety więziennego życia. Żadne sentymenty, fotografie, życzenia, czy modlitwy bliskich, nie działały wobec milczenia murów. Z Jadwigą, Beatą i Anetą miała dobre relacje. Można powiedzieć, że zaczynały się lubić. Pomagały jej w codziennych sprawach, gdy stawiała czoła więziennej hierarchii, wspierały. Co dwa tygodnie odwiedzała ją matka próbująca lekami i farbowaniem włosów ukryć, ile straciła zdrowia. Dni pozostające do końca kary Laura odliczała skrupulatnie, mając nadzieję, że jedenaście lat minie szybko.

Przystosowała się do rytmu więziennego i powoli się aklimatyzowała. W miejscu zwolnionym przez Celinę Bobiel stała się następnym trybikiem mechanizmu penitencjarnego funkcjonującego gdzieś przy południowej granicy, w prawie zapomnianym więzieniu. Robiła wszystko, co nakazywały zasady odbywania kary. Nie gorzej, nie lepiej, nie krócej niż inne skazane. Nie szukała sensu, bo nie wiedziała, w czym ma go szukać.

Godziła się z losem. Jadwiga, Aneta, Beata nie pozwalały jej wątpić, kazały wierzyć, być silną. Jednak im było łatwiej. Dwie pierwsze przeszły przez domowe piekło, były bite i upokarzane latami. Po tym, co je spotkało wytrzymały więcej niż ona: maturzystka, której w jeden wieczór odebrano dotychczasowe życie. Zdawały sobie z tego sprawę. Lubiły Laurę i bardziej niż ona miały nadzieję, że się nie podda. Wiedziały bowiem z doświadczenia, że przyszłości nikt jeszcze nie odgadł.

Dni ciągnęły się jak guma, by często bezsenną noc przykryć porankiem i rozpocząć śniadaniem w towarzystwie trzystu podobnych skazanych. Laura nie wiedziała, że zainteresowała się nią naczelniczka. Przejrzała jej dokumenty, niby przypadkowo zagadnęła, zadzwoniła na komendę, która prowadziła sprawę i do prokurator, która oskarżała. Znała sytuację rodzinną

oraz przebieg spotkania w „Pół nuty” i późniejsze wydarzenia. Zaczęła ją obserwować.

Mniej więcej dwa lata później, w połowie marca, Laura z czterema skazanymi myła okna w korytarzu na oddziale. Po południu zobaczyły idącą w ich kierunku naczelniczkę - krępa, w długiej szpinakowej sukni i szarym swetrze narzuconym na ramiona. Gdy była blisko skazane przestały myć i stały nieruchomo.

– Dzień dobry, pani naczelniczko.

Pilnująca je strażniczka przyjęła pozycję służbową.

– Dzień dobry paniom. Jutro wy też myjecie, czy ktoś inny? – spojrzała na okna ciągnące się do końca korytarza.

– My – odpowiedziała jedna z parteru. – Jeżeli nie zmienią grafiku.

– Dlaczego mają zmienić? Grafiku nie można zmieniać bez powodu.

– A jeżeli któraś zachoruje? Zima na dworze.

– To wtedy może zmieniać. Lepiej nie chorujcie. Nie za ciepło tu. Myjcie, to się rozgrzejecie. Zamknijcie później szczelnie, żeby ciepło nie uciekało. Jutro pewnie się spotkamy. Ty jesteś z jedenastej celi? – zapytała Laurę.

– Tak.

– Chciałabym porozmawiać z tobą. Chodź. Myjcie we cztery – poinstruowała.

Laura odłożyła szmatę i poszła z naczelniczką. Weszły schodami na poddasze, w którym przez sekretariat dostały się do gabinetu naczelniczki. W drzwiach stanęła, aby przepuścić ją przodem. Kobieta odmówiła i zachęcającym gestem pokazała, aby weszła pierwsza.

– Proszę usiądź. Masz na imię Laura? Dobrze pamiętam?

– Tak.

Przez okna widziała kawałek zaśnieżonej doliny i autostradę. Uświadomiła sobie, jak dawno nie widziała samochodów. Z jej celi widać było zalesioną część doliny.

Gabinet urządzone praktycznie. Dookoła stały półki z książkami, zauważyła, że dotyczyły głównie tematyki prawniczej. Pod parapetem ciągnął się

rząd brązowych kaloryferów. Na biurku klasyczna lampa z porcelanowym kloszem, telefon Panasonic, gazety i dużo służbowych papierów.

– Czy już ci się przedstawiłam? Chyba nie – zaczęła naczelniczka. – Oczywiście znasz mnie, ale ponieważ chciałabym dowiedzieć się trochę więcej o tobie, przedstawię się. Mam na imię Aniela i, jak wiesz, pracuję w tym więzieniu jako naczelniczka długo, od początku jego założenia – podeszła do okna. Z prostokątnego stolika przy ścianie podniosła teczkę z aktami.

– Jak ci się pracuje z nimi na korytarzu?

Laura nie miała żadnych problemów. Pracowały sprawiedliwie.

– Nie mam powodów, żeby się skarżyć. Pracujemy tyle samo.

– Nie zrozum mnie źle, nie chcę, żebyś na kogoś donosiła. – naczelniczka usiadła. Położyła teczkę z aktami przed sobą i odsunęła lekko fotel. – Jestem po prostu ciekawa. Chcę dowiedzieć się czegoś o tobie. Donosicielki nic u mnie nie zyskują. Wręcz przeciwnie. To, co chcą mi powiedzieć, wiem zanim przyjdą. Masz dwadzieścia jeden lat. Wiesz, że jesteś tu najmłodsza teraz?

– Wiem.

– Masz rodzeństwo. Brata.

– Tak.

– W jakim jest wieku?

– W lipcu kończy jedenaście lat.

– Niedługo pójdzie do gimnazjum.

– Tak.

– Mam siostrzeńca w tym samym wieku. Rozrabiaka. Ale urocze dziecko. Kiedyś wydawało mi się, że będę miała kłopoty z kupowaniem mu prezentów. Jestem bezdzietna. Ale w roku jest tyle okazji, żeby mu coś kupić. Tyle okazji, o których wie. Imieniny, urodziny, dzień dziecka, gwiazdka, imieniny mamy. Ciocia na pewno nie przyjdzie bez prezentu – uśmiechnęła się. – I parę innych, które przytrafiają się niespodziewanie. Byłam w błędzie. Okazało się, że nie mam z tym problemu. Pracuję z kobietami i pomysłów zawsze jest nadmiar.

Spostrzegła, że twarz dziewczyny zmieniała się trochę. Mówiła dalej: – Lau-
ro, chciałabym porozmawiać z tobą o tobie. Czego się napijesz? – zrobiła
przerwę. Podeszła do regału. – Może kawy?

– Dziękuję. Nie chce mi się pić.

– Proponuję dobrą kawę – doradziła i popatrzyła na Laurę. – To nie jest
przekupstwo. Zawsze proponuję gościom coś do picia. Lepiej się wtedy roz-
mawia. No i jak? Pijesz?

Usłyszała dźwięk porcelany i uderzenie pokrywki cukierniczki, jakby ktoś
sprawdzał zawartość.

– Dobrze. Poproszę kawę. Nie wiem, co mnie czeka. Mogę prosić z mle-
kiem?

– Oczywiście. Nic złego nie powinno cię tu spotkać – pocieszyła ją na-
czelniczka. – Masz jakieś przeczucie w związku z tą rozmową? – wstawiła
filizanki na tacę. Podeszła do biurka.

– Nie. Nie mam. Nie wiem – zastanowiła się. – Dziękuję – posłodziła
kawę. Czuła, że naczelniczka się jej przygląda.

– Ładnie pachnie. Nie piję kawy wieczorem. Nie mogę później zasnąć.
Ale popołudniu, nawet później, jedna mała nie zaszkodzi. Jesteś z Warszawy.

– Tak.

– Przyjechałam tu z Warszawy dwadzieścia pięć lat temu, jako młoda ko-
bieta, bo dostałam tę pracę – wspominała. – To było jedyne więzienie, do
którego poszukiwali naczelnika kobiety. Wszystkie pozostałe były już ob-
sadzone. Czekałam, byłam pierwsza na liście w ministerstwie. O dziwo tak
się stało, że nikogo przede mnie nie wcisnęli. Sądzę, że próbowali, ale to
miejsce, wtedy zesłania dla niektórych, było za daleko. To mi pomogło. Teraz
opuszczę te mury tylko wtedy, gdy zostanę do tego zmuszona albo przejdę na
emeryturę. Oby jak najpóźniej.

Aromat kawy i ton naczelniczki sprawiał, że spotkanie przestawało być
administracyjną rozmową.

– Większość z was mnie potrzebuje. Odkąd tu jestem, zetknęłam się z lo-
sem prawie trzech tysięcy z was. Dzięki temu dowiedziałam się, co to czasami

znaczy być kobietą. Wbrew wszelkiej teorii, której uczono na studiach, za mocno się identyfikowałam ze sprawami, które tu spotykam, teraz już mniej, choć ciągle jeszcze. Są takie przypadki, o których filozofom się nie śniło. W pewnym stopniu dotyka mnie to cały czas – mówiła dalej. – Ale mimo to wykonuję dobrą robotę, jeżeli od dwudziestu pięciu lat pracuję w tym miejscu. Przypadków podobnych, zaskakujących, jak twój, spotkałam na pewno kilkanaście. Jesteś tutaj trzydzieści jeden miesięcy.

– Tak. Od dwudziestego pierwszego października 1998.

Naczelniczka wyglądała poważnie. Laurze nie przychodziło do głowy, czym mogłaby ją zainteresować. Akta leżały przed nią.

– Przeglądałam twoją sprawę dokładanie. Jesteś rzadko spotykaną skazaną. Mam na myśli nie tylko to, co stało się trzy lata temu, ale także ciebie. Widziałam wiele kobiet. Wiem z doświadczenia, co się dzieje, kiedy wychodzą na wolność. Mam na myśli twoje piętro – długonogie. Byłaś w klasie maturalnej. Miałas jakieś dalsze plany?

– Chciałam zdawać na polonistykę.

Była zmieszana i zaskoczona tymi pytaniami, niepotrzebnymi. Tylko rozdrapywały rany.

– Dlaczego?

– Podobała mi się. Uważam, że warto ją studiować. Było warto.

– Warto. Niestety, na co dzień bierzemy wszystko z Zachodu. Bez namysłu. Chcemy być tacy amerykańscy, europejscy. Ubezłasnowolnieni kulturowo. Na siłę. Uczyłaś się angielskiego.

– Chciałam zdawać go na maturze.

– Domyślałam się, że dobrze znasz ten język. Chociaż teraz pewnie trochę już zapomniałaś.

– Podejrzewam, że tak. Nie mam możliwości sprawdzenia.

– O czym myślisz? Mam na myśli więzienie, nie teraz, kiedy rozmawiamy.

Laura popatrzyła na naczelniczkę. Czuła, że odpowiedź jest ważna. Napiła się kawy, dając sobie chwilę do zastanowienia. Powiedzieć prawdę? Skłamać? Nie słyszała wcześniej o takim zachowaniu naczelniczki. Potraktowała ją ina-

czej. Pytała o sprawy osobiste, powiedziała dużo o sobie. Podejrzewała, że miała jakiś powód. Postanowiła powiedzieć prawdę.

– Zaczynam być nikim.

– To zupełnie nie pasuje do tego, co powiedziałaś wcześniej i co o tobie wiem.

– To było trzy lata temu. Co pani wie, tego nie wiem. Siedzę za zabiciem dwóch gwałcicieli, którzy na mnie napadli. Pani pyta mnie o przeszłość, z której nic nie zostało. Po co? Proszę mi nie zadawać takich pytań. Co mam pani odpowiedzieć? Co po tym wszystkim mogę myśleć? Czy to ma sens? Nie – patrzyła na naczelniczkę, próbując wytłumaczyć, że rozmowa staje się niepotrzebna. Dopiła kawę. – Zostało mi jeszcze dziewięć lat. Zastanawiałam się nieraz, dlaczego tak się stało. Nie wiem. Nigdy wcześniej nic złego nie robiłam. Nikogo nie zabiłam. Nie kradłam, nie prowokowałam. Nie zaczepiałam na ulicy. Nie wiem, dlaczego. Pani wie? Tyle lat pracuje pani w więzieniu.

– Często słyszę to pytanie. Nie ma na nie jednej odpowiedzi. W każdym przypadku jest inna. Czasami nie ma jej w ogóle. I to jest najgorsze. Myślę, że tak jest w twoim przypadku. Niewiele takich spotkałam, mówiłam wcześniej. Tak już jest. Musisz wierzyć, że nie wszystko stracone. Czasami trzeba losowi dopomóc – oparła się o fotel. – Gdy jestem przekonana, że kara marnuje życie, które tak naprawdę jeszcze się nie zaczęło, albo kiedy motywy skazanej są inne, na przykład losowe, niż te, które uznał sąd, to staram się pomóc. Przede wszystkim, gdy upewnię się, że jest szansa, że można jeszcze coś naprawić, a kobieta jest tego warta. To podlega mojej i tylko mojej ocenie. Na podstawie doświadczenia, o którym wspomniałaś, znajomości sprawy i obserwacji, przede wszystkim. Znam każdą z was lepiej, niż wam się wydaje. Jeżeli są tutaj takie, którym warto dać pracę, daję. Wysyłam je do fabryki. Albo do szwalni. Każdą pomoc, małą, dużą, możecie dostać, ale trzeba na nią zasłużyć. Wierzę, że kiedyś umożliwi to wam lepsze życie. Taką mam nadzieję – dotknęła akt. – Jak ci się pracuje w fabryce?

– Dobrze, dziękuję – odpowiedziała zdeorientowana słowami naczelniczki, ale i z uczuciem nieśmiałej nadziei.

– Cieszę się. Znam twoją sprawę doskonale. Jest z tych, które odbierają mi chęć pracy na tym stanowisku. Zdarzają się jednak. Można dołączyć ją do pozostałych i zostawić na półce albo potraktować przez pryzmat tego, co się wydarzyło i osoby. Pytałam o ciebie różnych ludzi. Rozmawiałam z twoją mamą, oczywiście nie o dzisiejszym spotkaniu. Obserwowałam cię. Szczególnie w ostatnim czasie. Robisz się długonoga. Przejmujesz negatywne cechy. W twoim przypadku to duża strata. Wiem oczywiście, dlaczego tak się dzieje. Przebywając z nimi nie możesz temu zapobiec. Z biegiem czasu będzie ci coraz trudniej. Dlatego chcę ci pomóc – podeszła do drzwi i zapaliła wystużony żyrandol. Usiadła i wypila kawę do końca.

– Chciałabys mi coś opowiedzieć? Tak z serca, od siebie. Powiedzieć coś ważnego. Przekazać jakąś informację.

– Nie wiem – miała mętlik w głowie. Rozmowa z naczelniczką była zaskoczeniem. Nie wiedziała, w którym kierunku się potoczy. – Chcę podziękować za to, że mogę pracować w fabryce. Na pewno każdy dzień powoduje, że podłamuję się bardziej. Mimo że nie chcę. Zna pani moją sprawę, to było jak z filmu. Nie wiem, dlaczego to się stało. Czy musiało tak być? Może to przeznaczenie? Jeżeli tak, to nie chcę takiego przeznaczenia. Spróbuję wykorzystać każdą pomoc, której mi pani udzieli. Chciałabym mieć choć taką możliwość – czuła, że jak nie uda się jej opanować emocji, zawilgotnią jej oczy.

Naczelniczka przyglądała się jej, po chwili wzrok skierowała na teczkę z aktami.

– Nie muszę dodawać, że wszystko czego się dowiesz, zostaje w tym pokoju i między nami. Tak? – czekała na potwierdzenie.

– Tak. Oczywiście – zapewniła gorąco.

– Nie podejrzewam cię, choć może się mylę, o gadulstwo, musisz jednak wiedzieć, że swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem zakończysz na zawsze możliwość pomocy innym. Konsekwencje dla mnie i dla ciebie opisane są w kodeksie karnym.

Laura ponownie zapewniła, że wszystko co usłyszysz zostawi dla siebie.

– Każdej z was, którą wybiorę, mówię co może się stać, gdy na chwilę przestanie być ostrożna. Pamiętaj zawsze – rano i wieczorem, co chwilę, co minutę, o sobie, i tych, które tu trafiają. Nie wolno ci o tym zapomnieć, gdy, mam nadzieję, wszystko ci się ułoży – rozwiązała teczkę i otworzyła ją. W środku było kilkanaście ostemplowanych druków. Przejrzała je. Podała Laurze czterostronnicowy formularz przyjęcia do więzienia.

– Pamiętasz?

Przejrzała kartki. – Niewiele pamiętam z tamtego dnia.

Naczelniczka odłożyła dokumenty.

– Chcę, Lauro, żebyś spróbowała wrócić do dawnego życia. Zdała maturę, dostała się na studia, założyła rodzinę. Jednak za pewną cenę, która nie jest mała. Musisz mi powiedzieć, czy chcesz ją zapłacić. Jesteś zainteresowana? Mówić dalej?

– Tak – splotła dłonie czując, że stały się zimne.

– Pomagam wam i na razie się nie zawiodłam. Zanim zdecydowałam i stało się tak, że mogę zaproponować inne odbycie kary widziałam wiele kobiet w podobnej sytuacji. Staczały się coraz bardziej. Z tobą też by się tak stało, co zresztą czujesz. Współczuję ci. Szkoda mi większości z was. Ale tylko kilku mogę pomóc w sposób, który proponuję. Tobie się udało. Chcę dać ci szansę. Jeżeli się zgodzisz, niestety samowolnie, zwolnię cię z więzienia. Zaproponuję ci zamianę – obserwowała reakcję dziewczyny. – Jesteś zdecydowana?

– Tak.

– Nie boisz się?

– Nie boję się – nie wiedziała, na co się decyduje, ale musi skorzystać. Naczelniczka też o tym wiedziała, żadna z wcześniejszych skazanych nie odmówiła, każdej opłaciła się złożona propozycja.

– Szesnaście lat temu – wyjaśniła – poznałam pokrewną mi duszę, i w sprawach resocjalizacji, i życiowych. Zżyłyśmy się bardzo. Jest astrologiem, znającym. Pomaga też nieuleczalnie chorym ludziom. Poznasz ją. Będziecie się kontaktowały regularnie. To pani Maria. Pomoże ci znaleźć pracę. Kiedy

wyjdiesz stąd, będzie twoją opiekunką i kimś w rodzaju mentora i kuratora. Maria jest bardzo dobrym człowiekiem. Mało takich. Ma ogromny dar przewidywania. Jej znajomość ludzi mnie fascynuje. Żeby jednak poznawać osoby tak jak robi to ona, trzeba mieć niespotykane pokłady życzliwości. To powoduje, że jest wyjątkowa, niepowtarzalna. Marysia pomaga ludziom skuteczniej niż ja. Oprócz tego, że odwiedza hospicjum, czy podpowiada zagubionym, jak odnaleźć się w życiu, mówi też, jak unikać problemów. Będzie działała także przez ciebie. To jest warunek umowy. Dlatego wypuszczam cię z tego miejsca. Podzieli się z tobą wiedzą. Powie ci o pewnych osobach, mężczyznach – kontynuowała naczelniczka. – Dowiedziała się o nich dzięki swoim niespotykanym umiejętnościom, wie o czekającej ich śmierci – czekała na reakcję, której nie było, skończyła więc: – Pokaże ci ich i zapozna z nimi. Mężczyźni ci umrą w bliskiej przyszłości – przerwała, tym razem oczekując jakiegoś znaku. Widziała skupioną twarz. To utwierdziła ją, że dokonała dobrego wyboru.

– Maria spowodowała, że wymyśliłam rodzaj pomocy, do którego włączam niektóre z was. Dzięki niej możecie ponieść odpowiedzialność za to, co zrobiliście, ale pracując dla innych możecie normalnie żyć, na czym mi zależy. Zaproponowałam Marysi pomoc i od czternastu lat nie zdarzyło się nic nieprzewidzianego. Wy zgadzacie się na moją propozycję, jesteście zadowolone. Potwierdzacie zachowaniem i osiągnięciami, że wybieram właściwe, ja śpiam spokojnie, nie budzę się nerwowo w nocy. I chcę nadal ryzykować dla tej sprawy. Jak powiedziałam, mężczyźni, których poznasz, umrą za parę miesięcy. Zanim zaczniesz spotykać się z pierwszym, nauczysz się cierpliwości i nawiązywania prawdziwej przyjaźni. Bez tych umiejętności nie zaopiekujesz się nimi, jak powinnaś. Są w różnym wieku. Będziesz spotykała się z każdym, kogo wyznaczy Marysia, dopóki nie umrze. Znajomość nawiążesz przypadkiem. Przekonasz ich tym, co masz w sobie wartościowego, najlepszego. Będzie to trwało tyle, ile zostało ci wyroku. Dziewięć lat lub krócej, jeżeli dostaniesz warunkowe zwolnienie – czego ci oczywiście życzę. Wszystkie sprawy formalne, które związane są z dalszym teoretycznym pobytem tutaj

załatwiam ja i przez cały czas trwania umowy czuwam i trzymam nad nimi pieczę. Wyrobienie dla ciebie nowych dokumentów to także moje zadanie. Dostaniesz nową tożsamość, po to, by wszystko było utrzymane w całkowitej tajemnicy. Wręczy ci je Marysia. Załatwi ci także pracę. Chcę umożliwić ci bardzo bezpieczny i ostrożny kontakt z domem, powrót na studia, niestety zaoczne, żebyś spróbowała odzyskać jak najwięcej z tego, co straciłaś. W zamian musisz opiekować się każdym mężczyzną, którego poznasz przez Marysię. Nie musisz odpowiadać natychmiast. Wiem, że to zaskakująca propozycja, ale myślę, że korzystna, pożyteczna, i może przynieść wiele dobrego. Jeżeli masz pytania, pytaj. Odpowiem na tyle, na ile mogę. Wygląd oczywiście zmienisz, tego się pewnie domyślasz.

Po chwili dodała: – Nie traktuj mojej propozycji jako nie do odrzucenia. Absolutnie. Możesz odmówić bez żadnych konsekwencji. Uszanuję to bardziej, niż myślisz. W takim przypadku naszej rozmowy oczywiście nie było. Nie rób niczego na siłę. Nadal będę cię traktowała jak dotychczas.

Twarz Laury była biała jak arktyczny dzień. W gabinecie panowała cisza. Przerwała ją naczelniczka.

– Co myślisz o mojej propozycji?

– Zgadzam się. Na pewno – odchrząknęła, jakby wyrwana ze snu. – Coraz bardziej chcę stąd wyjść. Teraz nawet nie wiem, o co mogłabym zapytać. Tyle pani powiedziała. To niesamowite, że tak pani ryzykuje. Nigdy o tym nie słyszałam. Nie mogłabym, wiem. Nawet się już nie boję – dodała ośmielona.

– To dobrze, chociaż jest czego. Strach nie jest dobrym doradcą, ale jest niezłym przewodnikiem. Musisz się pilnować na każdym kroku. To musi być twój nawyk, musi wejść ci w krew, jak wszystkim dziewczynom. Będziesz pod bardzo dobrą opieką. Znajomość z Marysią to jak wizyta w świętym miejscu. Przede wszystkim dzięki niej przez czternaście lat żadna z was nie zrobiła żadnego błędu, żadnego głupstwa. Myślę, że z tobą będzie tak samo.

– Na pewno. Cieszę się. Dziękuję, że pani mnie wybrała.

– Zwolnię cię za miesiąc, w połowie kwietnia. Dokumenty odbierzesz w Warszawie. Zgłosisz się do Marysi, ona będzie wszystko wiedziała. O two-

jej pracy, mieszkaniu, dostaniesz dokumenty. Wyjaśni ci szczegóły. Zmienisz kolor włosów, fryzurę, w ogóle wygląd. Będziesz się wdrażała stopniowo, ale szybko. Wiele do zapamiętania w tym systemie nie ma. Marysia pozna cię z pierwszym mężczyzną i później będzie w kontakcie, takim, jaki ci będzie potrzebny. O nic nie chcesz zapytać?

Nie miała żadnego pomysłu.

– Mam chaos w głowie. Jestem zaskoczona i wdzięczna. Nie mogę teraz o niczym myśleć – wzruszyła bezradnie ramionami.

– Nie ty pierwsza. To normalne. Przez ten ostatni miesiąc tu spotkamy się jeszcze dwa razy. Wtedy może przypomnisz sobie o czymś. Ważne, że się zgodziłaś. Spotywanie się z mężczyznami, którzy umrą nie jest przyjemnie. Wymaga odporności. Ale taka jest cena. Tak to wymyśliłam. Tak już jest – westchnęła. – Będziesz ich ozdobą, kamieniem szlachetnym, który znajdą na ostatniej prostej. Tak to działa. Zgadzasz się?

– Zgadzam.

Po chwili została odprowadzona do drzwi sekretariatu i zeszła myć okna.

Spotkały się we wtorek. Zapytała o kilka spraw. Jedno z pytań przyszło jej do głowy w celi. Zapytała o Anetę. Naczelniczka opowiedziała, że chciałaby jej pomóc, obserwowała ją, ale jej nie wybierze, ponieważ nie spełnia wymagań. Obawiała się o akcent i znajomość języka, które mogłyby wzbudzić zainteresowanie, a więc kłopoty. Laura dowiedziała się także, że najprawdopodobniej dostanie pracę sprzedawczyni w sklepie papierniczym.

Potem rozmawiały jeszcze dwukrotnie. Dowiadywała się coraz więcej szczegółów. Na ostatnim spotkaniu poznała swoją nową tożsamość. Będzie się nazywała Agnieszka Koral. Tym nazwiskiem przedstawi się Marii, gdy spotkają się w Warszawie, i tak zostanie do końca życia. Dostała kopertę z dwoma biletami na PKS i pociąg, schowała ją w majtki. Naczelniczka obiecała, że zobaczą się podczas urlopu. Na pożegnanie się przytuliły.

Gdy dotarła do Warszawy, zadzwoniła do pani Marii, a wieczorem przyjechała do jej mieszkania. Drzwi otworzyła niewysoka blondynka w dojrzałym wieku, promieniująca energią. Przyjęła Laurę jak członka rodziny. Zjadły

kolację, rozmawiały o pani Anieli. Laura opowiadała o sobie, domu, niepewnych planach, które chce zrealizować. Zamieszkała u niej na dwa tygodnie. Następnego dnia poszły do zaprzyjaźnionego fryzjera. Ściął Laurze długie włosy, zrobił grzywkę i zmienił kolor. Zdecydowała się na kasztanowy. Wyglądała inaczej i podobała się sobie. Kupiły kolczyki, które dopełniły przemiany. Zrobiła zdjęcia do nowych dokumentów. Miała w czasie czternastodniowych przygotowań trochę czasu odwiedziła więc Marię w hospicjum. Ta wizyta zrobiła na niej mocne wrażenie, zwłaszcza, że była tam pierwszy raz.

Podczas pobytu u Marii widziała kilku mężczyzn, którzy przyszli po radę, ale nie zastanawiała się, z którym będzie się spotykała. W drugą sobotę pobytu dostała dowód osobisty. Czuła się jak hazardzistka. Otworzyła go z dreszczykiem nieznanej emocji. Zobaczyła swoją nową twarz. Na górze po lewej stronie czarnym tuszem wykaligrafowano: Agnieszka Koral. Przeczytała imiona rodziców: Jan, Stanisława. Pod spodem zobaczyła datę urodzenia: 19 maja 1977. Była starsza o trzy lata. Patrzyła na zdjęcie i przeczesła włosy, jakby sprawdzając czy wszystko się zgadza. Pomyślała, że ta dziewczyna nie-
długo powinna spodziewać się dziecka, mieć męża i mieszkanie. Spojrzała na Marię. Uśmiechnęła się trochę speszona. Spełniło się to, o czym mówiła naczelniczka.

Jest kimś innym.

Podczas ostatniej kolacji zaplanowały jej pierwszy samodzielny tydzień. W niedzielę wyprowadzi się do kawalerki. W poniedziałek rozpocznie pracę w sklepie papierniczym. W czwartek dowie się, kim jest pierwszy mężczyzna, z którym będzie się spotykała.

Był nim Waldemar Ogiński, czterdziestojednoletni wdowiec, wychowujący dwóch małoletnich synów. Poznała go na zaaranżowanym przez Marię spotkaniu, kilka dni później dowiedział się, że zdiagnozowano u niego nowotwór spowodowany przewlekłym zapaleniem węzłów chłonnych. Był walczącym z przeciwnościami losu, dobrze zarabiającym analitykiem finansowym, który pomimo śmierci żony – zginęła potrącona przez autobus – nie poddawał się, robiąc wszystko, by wychować synów. Ze względu na nich diagnoza

i świadomość rychłego końca były dla niego tragedią. Spotkania z Laurą były dla niego ukojeniem. W zależności od stanu jego zdrowia widywali się tak często, jak tylko mogli.

Laura pracowała w sklepie, miała miłą kierowniczkę, która zatrudniała jeszcze młodszą ekspedientkę. Klientów przychodziło dużo. Nauczyła się na pamięć większości asortymentu. Potrafiła obsługiwać kasę fiskalną, drukowała faktury, elektronicznie kontrolowała towar. Wdrożyła się jako niezła sprzedawczyni.

W każdą niedzielę pomagała Marii w hospicjum. Prywatnie odwiedzała ją w piątki po pracy. W czwartki chodziła do liceum wieczorowego na kurs przygotowujący do matury.

Z Ogińskim spotykała się cały czas. Przez pierwsze cztery miesiące, wobec nieuchronnej śmierci, nie wiedział, czy spotkanie Laury było karą czy błogosławieństwem. Później, gdy odwiedzała go leżącego w szpitalu, nie miał wątpliwości. Nie bał się śmierci. Cieszył się, gdy odwiedzali go synowie, rodzina i przyjaciele. Dzieci dał na wychowanie do rodziców. W sądzie przeprowadził zaoczne postępowanie o przekazanie praw rodzicielskich. Sporządził testament. Wszystko ustalił. Umarł dzień przed Świętem Zmarłych.

Od listopada do maja spotykała się z taksówkarzem, który zginął w wypadku samochodowym. Kilka dni po jego pogrzebie zdała maturę. Na początku czerwca do gabinetu Marii zgłosiła się pięćdziesięcioletnia kobieta przynosząc, jak każdy, datę i godzinę urodzin. Pracowała w banku, do wizyty zachęciła ją koleżanka z oddziału. Od lipca Laura spotykała się z jej synem Amadeuszem Tomisiakiem, studiującym filozofię muzykiem amatorskiego zespołu rockowego. Nie był narkomanem, jednak zażywał narkotyki zbyt często i zdawał sobie z tego sprawę. Bardzo się cieszył z poznania Laury. Podobała mu się. Dla niej chciał rzucić nałóg. Nie zdążył, ponieważ w październiku przedawkował na jednej z imprez.

W tym samym miesiącu poznała trzydziestojednoletniego mężczyznę, którego ciało przed Bożym Narodzeniem wyłowiono z Wisły. W styczniu spotykała się ze znanym dziennikarzem. Na początku była onieśmielona,

jednak wskazówki Marii pozwoliły jej nie zdradzić się. Ich znajomość była krótka, miesiąc później został wypchnięty przez okno. Po tym zdarzeniu nastąpił u Laury kryzys. Nie było to zwątpienie, tylko brak wiary w sens tego, co robi i uświadomienie sobie beznadziejności losu, na który nic nie mogła poradzić. Dużo wsparcia udzieliła jej matka. Odwiedzała ją w sobotę. Robiły zakupy, gotowały obiad, rozmawiały, bawiła się z Danielem. Na początku lutego poznała syna jubilera. Średnio inteligentny, zamknięty w sobie na początku, z czasem jednak coraz bardziej szczęśliwy i zakochany. Zaprosił Laurę i przedstawił rodzicom, przyjeżdżał po nią do pracy. Kierowniczka sprowadziła dla niego specjalny papier do pakowania i atlasowe pudełka do drobnej biżuterii. Chciał zamówić partię torebek, ale nie zdążył. W kwietniu bandyci napadli na jego sklep i zabili Darka, tak miał na imię. Dzień jego pogrzebu był szary i mroźny. Przed południem Laura odebrała zamówione kwiaty i pojechała z kierowniczką do kościoła i na cmentarz. Po zakończeniu uroczystości wracały na parking. Za bramą, gdy stała i czekała, aż szefowa wsiądzie do samochodu i otworzy jej drzwi, zobaczyła chłopaka, który patrzył na nie, jakby chciał zapamiętać numery rejestracyjne. Po chwili odszedł.

Pierwszego maja spędziła u Marii. Zrobiła podsumowanie spotkań, podzieliła się spostrzeżeniami. Pytała, czy w sytuacjach, które opisała, zachowywała się jak powinna. Nabrała pewności, ponieważ robiła wszystko zgodnie z oczekiwaniami. Później trochę żartowały, wspominała więzienie. Około szesnastej dowiedziała się, kto jest następnym mężczyzną: chory na epilepsję dwudziestopięcioletni barman z hotelu Sobieski. Pomimo że dwa razy dziennie zażywa lekarstwa, kolejnego ataku nie przeżyje. Maria podejrzewa, że za trzy do pięciu miesięcy. Zanim się poznali Laura obserwowała go w Cafe Marysieńka, gdy spełniał alkoholowe życzenia hotelowych gości.

Marcin w dzień po pogrzebie sąsiada pojechał sprawdzić adres, pod którym był sklep papierniczy reklamowany na samochodzie, którym przyjechała dziewczyna. Wysiadł z autobusu i szybko znalazł interesujący go numer ulicy.

Obszedł długi budynek, szukając tego, czego potrzebował. Minął kolejną witrynę i zobaczył napis Art. papiernicze. Stanął tak, by nie był widoczny. Zauważył ją przy ladzie. Rozmawiała z dzieckiem i podawała z półki towar.

Za trzy tygodnie trafił za nią do hotelu.

Nic z tego nie rozumiał. Od grudnia, kiedy widział ją w parku Saskim z policjantem, spotykała się jeszcze z czterema mężczyznami. Różnili się bardzo od siebie, ale z każdym chodziła. Trzech z nich nie żyje, jeden mieszkał w jego kamienicy. Barman też był inny. Spokojny, zamyślony, jakby na haju.

Nie podejrzewał, żeby była prostytutką, pracowała, ubierała się zwyczajnie, rzeczy raczej nie z butików, ale ładne. Nie sprawiała wrażenia wyrachowanej. Przeciwnie. Czy była niebezpieczna, zdesperowana? Nie wiedział. Fakty były jednak takie, że chodziła z różnymi facetami i każdy z nich nie żyje. Oprócz barmana.

W czerwcu sprawdził, gdzie mieszka. Do tego czasu obserwował ją raz w tygodniu. Na początku wakacji doszedł za nią na Krakowskie Przedmieście. Na czerwonej tablicy budynku, do którego weszła widniała informacja: Wydział Filologii i Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Przeszedł na drugą stronę ulicy i usiadł na schodach pomnika Kopernika patrząc na drzwi, w których zniknęła. Był zaskoczony, ale zastanawiał się, czy słusznie. Podejrzewał przecież, że może gdzieś studiować. Stawiał na marketing. Po kilkunastu minutach wyszła szczęśliwa, z kartką w ręku. Wyjęła z torebki telefon i gdzieś zadzwoniła. W następnym tygodniu znowu przyjechał za nią na uniwersytet.

Kilka dni później, pierwszy raz odkąd opuściła więzienie, zobaczyła się z naczelniczką, która przyjechała na urlop do Warszawy. Zamieszkała u Marii, u niej się spotkały. Laura zabrała ze sobą mamę. Zjadły obiad, a przy kawie rozmawiały o życiu. Naczelniczka wiedziała od Marii, jak Laura się urządziła, kim się opiekuje. Pytała o jej studia, mieszkanie, pracę. Była zadowolona, że zdała egzaminy i, tak jak chciała, dostała się na polo-

nistykę. Po południu pojechały we trzy do miasta. Maria została, ponieważ przychodził do niej klient. Chodziły po sklepach, były w galerii Zachęta, której naczelniczka dawno nie odwiedzała. Laura zaprosiła je do kawiarni. Później poszły do Ogrodu Saskiego. Skorzystała z okazji i chciała pokazać im miejsce, w które często przychodzi z mężczyznami. Było ciepłe, letnie popołudnie.

Usiadły na jednej z ławek w cieniu drzew. Rozmawiały obserwując otoczenie. Przed nimi była fontanna, psy podbiegały do niej, żeby się wykąpać. Na skraju ulicy stał żółto-niebieski samochód dostawczy, z którego mężczyzna sprzedawał lody. Podeszła do niego para strażników miejskich i kupili kilka smaków. Mężczyzna, który wyszedł na spacer z dzieckiem w wózku naprawiał coś przy kole. Duży brązowy pies otrzepał się z wody, ochlapując przechodzące małżeństwo.

Marcin wziął rower i podjechał do parku, sprawdzić, czy nie spotka dziewczyny, bo przychodziła tam z barmanem. Jechał główną alejką. Zwolnił, gdy dojeżdżał do fontanny. Zobaczył Laurę po prawej stronie, siedzącą między dwiema kobietami. Odwrócił głowę i przyspieszył. Nie wiedział, co myśleć, pocieszył się jednak, że przynajmniej zobaczył więcej, nie tylko zmieniających się facetów. Później widział ją już tylko z barmanem. W październiku, gdy jechała z nim autobusem, dostał ataku epilepsji i udusił się językiem.

Zaczęła wracać po pracy do domu, z nikim się nie spotykała. Przeczynał, że stało się coś złego. Nie był pewien, ale domyślał się co. Poszedł do hotelu. Spytał barmana, kiedy będzie jego zmiennik, ten spokojny. Mężczyzna chciał się dowiedzieć, dlaczego pyta. Odpowiedział, że miał mu dać adres hotelu na Mazurach. Wtedy barman poinformował go, że tamten nie żyje.

Był zdenerwowany. Bardziej niż śmierć barmana, którą mógł przewidzieć, niepokoiło go, co będzie dalej. Kto następny? Może on? Nie do końca w to wierzył, ale targały nim wątpliwości. Poczuł, że podgląda jedną z tajemnic tego miasta.

Za dwa tygodnie zobaczył, że dziewczyna spotyka się z wyłysiałym emerytem. Wtedy postanowił do niej pojechać.

Był czwartek, początek października, wieczór. Dochodziła dwudziesta. Wysiadł z autobusu i siedł osiedlowym chodnikiem, wyobrażając sobie jej reakcję, gdy powie, po co przyjechał i opowie, co widział i wie. Zobaczył blok, w którym mieszkała. Wszedł do drugiej klatki. Zadzwoił domofonem.

– Halo? – usłyszał trochę zdziwiony głos.

– Cześć. Nazywam się Marcin Przybylski. Chciałbym porozmawiać o mężczyznach, z którymi się spotykasz i którzy umierają. Mogę wejść?

Długo czekał na odpowiedź.

– To jakiś żart? Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Nie. Pracujesz w sklepie papierniczym na Broniewskiego. Miesiąc temu spotykałaś się barmanem z hotelu Sobieski. Już nie żyje. Wpuścisz mnie, czy nadal będziesz oszukiwała?

Nacisnęła domofon.

Wjechał windą na piąte piętro. Zadzwoił dzwonkiem przy drzwiach numer sześćdziesiąt siedem.

W tym czasie Laura skontaktowała się z Marią, która kazała jej mówić jak najmniej, niezrozumiale, możliwie niejasno. Niech umówi się z nim na drugie spotkanie.

Wyglądał zwyczajnie, był nawet przystojny. Usiadł na fotelu przy telewizorze. Popijał colę i opowiadał. Zaczął od grudnia, kiedy zobaczył w gazecie na śmietniku zdjęcie Małkowskiego. Mówił prawie dwie godziny. O nic jej nie oskarżał. Odzyskała pewność siebie, bo znał mniej niż połowę faktów. Widział mężczyznę, z którym spotyka się teraz. Wymyśliła więc, że opiekuje się nim jako wolontariuszka PCK. To Władysław Bogucki, emerytowany nauczyciel chemii, którego adres dostała w hospicjum. Chory na raka prostaty, ma przerzuty. Pomaga mu w zakupach i pracach domowych. Nie uwierzył. Zwodziła go dalej. Tłumaczyła, że nie każdym opiekuje się jak Boguckim, z innymi chodzi do kina, a niektórym pomaga psychicznie, samą tylko obecnością. Tak było w przypadku barmana. Zaproponowała, żeby przyszedł innego dnia, wyjaśni więcej. Poznał część prawdy, bo zaskoczył ją wizytą. Na pewno rozwieje jego wątpliwości.

Odwiedził ją w sobotę. Po rozmowie z Marią – tak jak ustaliły – mówiła prawdę, choć wszystkiego nie ujawniała. Zapewniała, że jest wolontariuszką. Nie wspomniała o pobycie w więzieniu. Miała spotykać się z nim, żeby upewnić się, czy nie planuje czegoś, co mogłoby im zaszkodzić. Widywali się w różnych miejscach raz w tygodniu, gdy nie zajmowała się nauczycielem, który żył jeszcze osiem miesięcy lub się nie uczyła. Podziwiał ją i polubił. Wciągnęło go pomaganie innym. Maria, aby odczytać zamiary chłopaka, prosiła o przedstawienie go jej. Był pod jej wrażeniem. Siedział cały wieczór i uwierzył we wszystko.

W lutym, gdy szedł do Laury, został napadnięty i pchnięty nożem. Zmarł w szpitalu na stole operacyjnym.

W październiku Maria załatwiła jej praktykę w miesięczniku o modzie. Spotykała się wtedy z byłym posłem.

Rok później dostała angaż w dziale edycji miesięcznika „Pasja i styl”. Spotykała się z wykładowcą matematyki, alkoholikiem.

Trzy lata później nadal pracowała w redakcji miesięcznika. Widywała się z bezrobotnym śpiewakiem operowym, kiedy dzięki przyjaciółce z pracy poznała chłopaka. Po kilku dniach zginął w wypadku samochodowym.

Następny był Piotrek. Miał czternaście lat.

Za trzy i pół roku kończy się jej umowa z naczelniczką.